



Plastikowy
Delfin

Romuald Lazarowicz

Lena

Plastikowy
Delfin

Helence

Romuald Lazarowicz

Plastikowy Delfin

i inne opowiadania

Lena

Skład, łamanie, layout:
Lena

Konsultacje redakcyjne:
Jacek Wegner

Korekta:
Mirosława Zmysłowska

Okładka
Jacek Rogowski

Copyright 2012 © by Romuald Lazarowicz
Copyright 2012 © Wydawnictwo „Lena”

ISBN 978-83-64195-13-6

Wydawnictwo „Lena”
ul. Pasteura 15a-20
50-367 Wrocław
tel. 603 96 46 39
www.wydawnictwo-lena.pl

Druk:
„Kontra”

Spis treści

Od autora	7
Obserwacje	
Obibok	11
Sukces.....	15
Przerwany mecz.....	21
Gołąbek niepokoju	25
Opowieści	
Procesy	31
Azyl.....	33
Exodus.....	65
Instrukcje obsługi świata	
Szatański trik.....	75
Powstrzymana inwazja.....	79
Odkrycie	87
Bonus	
Prostowanie bajek (1). Czerwony Kapturek	93
Władczyni świata, czyli jeden dzień z życia sfer wyższych	97
Jacek Wegner	
Posłowie.....	99

Od autora

Zastanawiałem się, czy poprzedać ten zbiorek jakimkolwiek własnym komentarzem. Może i nie jest on konieczny. Dla tych jednak, którzy chcieliby spotkać się nie tylko z narratorem poszczególnych opowieści, ale z ich autorem, przeznaczam parę poniższych słów.

Książka ta, w wielu partiach prześmiewcza, powstała głównie wskutek pewnej ambiwalencji: z jednej strony przywiązany jestem do świata, w którym żyjemy, z drugiej zaś – nie zgadzam się na kształt, jaki jest mu obecnie nadawany. Pierwszy czynnik nie wymaga uzasadnień: lubimy coś i nie musimy się z tego tłumaczyć. Może i z uczuć negatywnych też nie, ale polityczna poprawność wszelkie fobie stawia pod pręgierzem.

Moja fobia dotyczy przede wszystkim głupoty, zwłaszcza tej butnej, nadętej, rozpanoszonej, zarozumiałej... Mógłbym dodać jeszcze parę innych przymiotników. Głupota mała, indywidualna może bawić, nawet stanowić o uroku człowieka. Ta wielka święci jednak w naszych, do bólu rzekomo racjonalnych, czasach równie wielkie triumfy. Często czyni ten miły świat miejscem paskudnym, z którego chciałoby się uciec. Głupocie przeciwstawiam pokorę, tę, o której jest mowa w ośmiu błogosławieństwach.

I również z pokorą przedkładam Czytelnikom tę książkę, licząc, że dostarczy Im nieco rozrywki i posłuży za kanwę do refleksji.

Autor



Obserwacje



Obibok

Dziunik jak zwykle siedział na osiedlowej ławeczce, swojej ulubionej zresztą. Pogoda akurat pozwalała na trwające godzinami obserwacje toczącego się wokół życia. To było wszakże tylko tło. Główny przedmiot zainteresowania stanowiła dla Dziunka zawinięta w papier butelka, którą wyćwiczonym ruchem podnosił w bardzo powolnym rytmie ku wiecznie spragnionym ustom. Tego dnia zarobił na nią uczciwie, zwalając komuś węgiel do piwnicy. Nie musiał żebrać ani kombinować, jak często mu się zdarzało.

Miał ze czterdzieści lat. Był znany i tolerowany w okolicy, niczym stały element krajobrazu, nikomu zresztą się nie narażał, upijał się zawsze na spokojnie. Na jego minus można jedynie zapisać zapach, jaki wydzielał, ale on sam go nie czuł. Ubierał się niezbyt wyszukanie, ale praktycznie. Sam uważał się poniekąd za filozofa, oceniającego na własny użytek świat, otoczenie, ludzi. Inni mieli go za obiboka, ale niegroźnego, prawie go zresztą nie zauważali. Znała go i policja – ot, kiedyś nie zdążył dotrzeć do domu i zasnął na trawniku, to znowu uwłaszczył się rzeczą mającą zgola innego właściciela, nic w sumie wielkiego ani groźnego.

Siedział zatem Dziunik na ławce, nie spodziewając się niczego nadzwyczajnego. Osiedle toczyło swe życie powolnym rytmem, jakby dostosowując się do ruchu ręki dzierżącej flaszkę. Senne wczesne popołudnie. Naprzeciw stał stosunkowo nowy budynek, trochę dalej, po prawej perspektywę zamykały starsze, mniej zadbane domy.



Nagle wszystko przyspieszyło. Z balkonu na drugim piętrze zaczęła krzyczeć młoda kobieta:

– Na pomoc! Ludzie...! Ratunku! – ręką wskazywała wąski gzyms biegnący od balkonu ku narożnikowi budynku. Patrząc w tym kierunku, Dziunek zauważył dziecko, które na czworaka spokojnie przesuwawało się wzdłuż wąskiej półki nad przepaścią.

W oknach pojawili się ludzie, ze zgrozą pokazujący sobie scenę dramatu.

– Dzwoncie po pogotowie! Dzwoncie po straż – przekrzykiwali się. – Ludzie, zróbcie coś!

Niektórzy wybiegli na podwórze, zadzierając głowy. Ktoś próbował przy ścianie rozpościerać koc, ale wiadomo było, że nie na wiele się to w razie czego przyda.

Zdumiony Dziunek, przez jakiś czas przypatrywał się wydarzeniom. Nagle, jakby przebudzony, spokojnym ruchem odstawił flaszkę pod ławkę (na wszelki wypadek, żeby nie zwracała uwagi, bo ktoś mógłby się na nią skusić), wstał i chwiejnym krokiem podszedł do narożnika domu. Przez całą jego wysokość biegła tam rynna, a zaraz obok piorunochron. Dziunek chwycił cienki przewód piorunochronu, szarpnął, ocenił, że wytrzyma jego ciężar, i... rozpoczął wspinaczkę.

– Co robisz, pijaku! Zabijesz się! – gromadzący się ludzie nie bardzo rozumieli, o co chodzi Dziunkowi. Potem jednak mówili coraz ciszej, aż wreszcie zamarli w milczeniu, wyciągając jedynie szyje.

Niektórzy tylko szeptem reagowali („O Boże!”), gdy w wyciężonej wspinaczce Dziunka następowało jakieś zakłócenie, obsuwała mu się noga czy niezbyt pewny wydawał się chwyt. A Dziunek powoli, ale uparcie wchodził coraz wyżej. Na pierwszym piętrze zrobił sobie króciutki odpoczynek, wspierając się na zgrubieniu rynny. Zaraz jednak ruszył dalej.

Z daleka słychać już było pierwszą syrenę nadciągającej pomocy, ale sytuacji to nie zmieniało. Malec oddalał się od balkonu, na którym stała wpatrzona w niego z przerażeniem matka.

Dziunek w końcu osiągnął poziom gzymsu. Dziecko było już bardzo blisko. Zaczekał, aż podczołga się do niego jeszcze trochę, po czym prawą ręką otoczył przewód piorunochronu nad wspornikiem,



a lewą wyciągnął ku dziecku, chwycił ubranko na plecach i jak kociaka przyciągnął do siebie.

Z dołu przypatrywał się temu milczący tłumek. Kobieta znikła z balkonu, zapewne zbiegała już na podwórko.

Dziuniak nie mógł liczyć, że dziecko chwyci go na tyle mocno, by było to bezpieczne. Było na to za małe. Nadal trzymając za ubranko, wsunął je sobie za koszulę i podjął wędrówkę w dół. Stamtąd zaś coraz śmielej wykrzykiwano instrukcje: – Wolniej, nie spiesz się! Noga trochę w lewo...

W końcu osiągnął ziemię. W jego kierunku wyciągnęły się ręce. Trochę zdyszany, wyjął malca spod koszuli i przekazał najbliższym stojącym. Ludzie poklepywali go po plecach, krzyczeli, płakali, machali rękami. Był tym oszołomiony. Zamieszanie powiększyło się, gdy na podwórze wjechała czerwona ciężarówka z drabiną. Dziuniak wykorzystał to, dyskretnie wycofując się z kłębiącego się tłumu.

Skierował się ku swojej ławeczce. Niespokojnie sięgnął pod spód. Ale jego butelka czekała wiernie na właściciela. Wziął ją i przysiadł na ławce. Zaraz jednak, gdy się rozejrzał, zde gustowany panującym zamieszaniem, podniósł się i powoli ruszył w kierunku parku. Tam na pewno znajdzie się odludniejsze miejsce, gdzie człowiek w spokoju będzie mógł delectować się trunkiem, rozważając jednocześnie zagadki bytu.

Sukces

Sekretarka wprowadziła do gabinetu elegancko ubranego czterdziestolatka.

– Witam – z fotela podniósł się siwowłosy mężczyzna. – Jestem inspektor Wudzki.

Wskazał gościowi fotel przy niskim stoliku i usiadł naprzeciw. – Dziwi zapewne pana dyrektora moje zaproszenie. Działam jednak w naszym wspólnym interesie.

– O? – gość dość oszczędnie wyraził swoje zdziwienie.

Sekretarka podała jakieś ciasteczka i wycofała się z gabinetu.

– Powiem wprost – ciągnął inspektor. – Otóż uzyskaliśmy metodami operacyjnymi dość wiarygodne informacje o planowanym napadzie na pański bank.

– O! – w tym okrzyku było już więcej emocji.

– Tak! Chcę właśnie zaproponować panu współdziałanie. Nie tylko, żeby ochronić bank, ale i żeby złapać bandytów.

– Oczywiście zgadzam się. Proszę tylko o informacje. No i oczywiście ciekaw jestem, co pan planuje.

– Po pierwsze: bandyci mają plan chytry i, powiedziałbym nawet, swoiście finezyjny. Z tego, co wiemy, wynika, że...

Do masowej demonstracji pod hasłem „Dość wyzysku” wezwało mało znane ugrupowanie Sprawiedliwi i Godni. Od dwóch miesięcy media podgrzewały atmosferę, coraz bardziej epatując – i strasząc – odbiorców groźbą rozruchów. Udział w demonstracjach zapowiedziały środowiska opozycyjne i rozmaici frustraci, bywalcy wszelkich



możliwych zadym. Miejscem manifestacji miał być plac Horsta Wessela w centrum miasta.

W wyznaczonym dniu od rana na placu przed bankiem gromadziły się poszczególne grupy uczestników. Byli już i górnicy w pełnym umundurowaniu, i pielęgniarki w białych fartuchach, i strażacy, od czasu do czasu testujący siłę swojej syreny. Ludzie nieokreślonego zawodu, ale ubrani w kufajki i w kaski ochronne, wtaczali spore opony, które w stosownym czasie miały zostać podpalone.

Pracownicy banku w większości mieli wolne – trudno wyobrazić sobie, by interesanci przedzierali się przez demonstrację. Jedyne garstka skupiła się przy wielkich oknach na parterze zamkniętego budynku, skąd z zainteresowaniem, ale i pewnym lękiem, obserwowała rozwój wydarzeń. Obok dyrektora stał jeden z umundurowanych ochroniarzy, drugi akurat parzył sobie kawę, a trzeci pełnił dyżur przed skarbcem, piętro niżej. Sekretarka roztaczała czarne wizje przed księgową, młodym kasjerem i sprzątaczką Marcelą. Sprzątaczką była dziewczyną przyslaną z agencji. Szybko zjednała sobie wszystkich pracowników. Panowie cenili przede wszystkim jej urodę i zgrabną figurę, panie – umiejętność słuchania nawet najnudniejszych opowieści rodzinnych i chwaleń ich strojów.

Na zewnątrz impreza rozkręcała się: machano licznymi flagami, odpalano kolejne petardy, w rytm wybijany plastikowymi butelkami skandowano hasła. Domagano się sprawiedliwości, wyższych płac, krótszej pracy, większych zasiłków, utrzymania przywilejów zawodowych, większych emerytur, obniżenia cen...

Marcelka oddaliła się od grupy przy oknie w kierunku toalet, mieszczących się bliżej tyłu budynku. I właśnie wtedy do tylnego wejścia zastukali trzej mężczyźni w czarnych kombinezonach z napisami „Policja” na piersiach. Marcelka otworzyła im drzwi i wpuściła do środka. Bez słowa poprowadziła do schodów i dalej, w dół, do skarbcza. Doszli do kraty, za którą dyżurował ochroniarz.

– Panie Pawle, panowie z policji – dziewczyna wskazała na przybyszy – mają wzmocnić ochronę. Proszę ich wpuścić.

– Już się robi, pani Marcelko.

Krata rozsunęła się i umundurowana grupa wkroczyła do skarbcza.

Jeden z policjantów sięgnął do boku, wyjął pistolet i skierował go ku wciąż jeszcze uśmiechniętemu ochroniarzowi.



– A teraz proszę podnieść ręce do góry.

– Ależ panowie, co wy robicie?!

– Niech pan uzna to za ćwiczenia.

– Aha! – ochroniarz nie był zbyt lotny. Spokojnie podniósł ręce, zwłaszcza że stojąca dalej Marcelka uspokajająco kiwała głową. Został obszukany, pozbawiony broni, a po chwili już skrępowany i zakneblowany leżał na ziemi.

– No to idę po szefa – Marcelka zawróciła w kierunku schodów.

Hałas za oknem się wzrósł. Chyba przybyła jakaś grupa z bębniami. Basowe rytmiczne dźwięki nadawały pozór ładu w tym całym chaosie.

– Proszę pana, niech pan tam pójdzie – Marcelka mówiła cicho, żeby słyszał ją jedynie dyrektor. – Tam... On upadł... Trzeba mu pomóc.

– Ale kto upadł i gdzie? Mów, dziewczyno!

– No tam, zaprowadzę... On nagle...

Nie zwracając uwagi innych, poszli razem w kierunku skarbcza. Zaraz po minięciu krat dyrektor zobaczył wymierzoną w siebie broń.

– Panie dyrektorze, niech pan odda telefon, a potem otworzy skarbiec. Chcemy tylko tych dwu rzeczy i damy panu spokój. A właściwie chcemy jeszcze trzeciej rzeczy: wyłączenia alarmu.

– Ale, panowie...

– No nie, o dyskusję nie prosiliśmy.

– A... – wypowiedź urwała się, gdy „policjant” przytknął lufę, jak palec, do ust, nakazując milczenie.

Zrezygnowany dyrektor oddał telefon, po czym podszedł do pancernych drzwi w ścianie i wprowadził kod na panelu cyfrowym. Po chwili grube drzwi zaczęły się otwierać.

Marcelka wróciła do stojących przy oknie. Na zewnątrz działa się interesujące sceny. Grupa demonstrantów zaczęła obrzucać budynek banku jajkami, jak się okazało, wypełnionymi żółtą farbą. Ludzie za szybą mimowolnie uchylali się przed pociskami lecącymi ponad kordonem policji, choć nic im faktycznie nie groziło. Farba co najwyżej utrudniała widzenie.

– Trzeba wezwać policję – orzekła zde gustowana księgowka.

– Przecież policja już tu jest.



– Pan dyrektor właśnie z nimi rozmawia – Marcelka lekko się uśmiechnęła na wspomnienie przebiegu tej rozmowy. – Prosił, żeby mu nie przeszkadzać.

Hałas od frontu głośzył wszelkie odgłosy od tyłu. A tam trzej „policjanci” sprawnie przenosili worki ze skarbca do stojącego przed tylnymi drzwiami dużego busa z napisem „Policja”.

Gdy już byli gotowi, przyłączyła się do nich Marcelka.

– Dysk – przypomniała zadowolonym „policjantom”. Zakneblowany dyrektor spojrzął na nią z wyrzutem.

– No jasne – jeden z nich podszedł do komputera i wypiął dysk z zamocowań. Na nim zapisany był obraz z wszystkich kamer.

Cała czwórka spokojnie wyszła, zatrzasnęła drzwi, wsiadła do busa i, włączwszy „koguta” na dachu, odjechała.

Kwadrans później, gdy demonstracja zaczynała jakby przycichać, stojąca przy oknie grupa usłyszała dobijanie się do tylnych drzwi. Gdy pobiegł tam kasjer, ujrzał dużą grupę na czarno ubranych policjantów. Wpuścił ich. Szybko zostali odkryci skrepowani w skarbcu dyrektor i ochroniarz oraz pusty sejf. Zaczęły się przesłuchania, zbieranie śladów.

Łodzieje z każdą chwilą byli coraz dalej od miejsca kradzieży. Żartując z Marcelką, jechali spokojnie ulicami wyludnionego miasta w kierunku parku. Wjechali w większą kępę drzew. Tam przeładowali zdobycz do dwóch stojących samochodów, zdjęli czarne stroje i ruszyli w dalszą drogę.

– Ale akcja! – duma biła z twarzy młodego blondyna, prowadzącego pierwszy samochód. – Wiecie co, załatwmy od razu sprawę z Grubym. To i tak po drodze, a on nie lubi czekać na oddanie długu. A bez tej pożyczki nie moglibyśmy przecież zrobić tak wspaniałej demonstracji.

Zajechali pod dużą willę stojącą pośród lasu po lewej stronie drogi. Łysy Heniek zza ogrodzenia czujnie sprawdził, kto przyjechał, po czym otworzył szeroką bramę. Zamiast jednak wjeżdżać, blondyn wysiadł i z jednego worka w bagażnika wyjął trzy pliki banknotów.

– Oddaj Grubemu – podał pieniądze Heńkowi. – Jesteśmy kwita.

Pojechali. Parę kilometrów dalej, też pośród lasu, stała ładna willa. Nie była ich, a wynajęta. Tylko na czas przygotowań do podróży na drugi koniec kontynentu.



Wypakowali towar. Z lodówki wyciągnęli szampana, rozpakowali cygara i rozsiadli się na fotelach. Odeszło napięcie, zastąpiły je pełne śmiechu wspomnienia o przebiegu akcji. Marcelka opowiadała, jak owinęła sobie wokół palca wszystkich w banku, dzięki czemu rozpoznała dobrze teren. Śmiali się, jak łatwo za niewielkie pieniądze dało się napuścić na demonstrację napuszonych polityków i związkowców.

– Mięso armatnie – podsumował zgrabnie starszy z „policjantów”.

Snuli plany związane z wyjazdem na Majorkę, kiedy zadzwonił telefon.

– Coście mi dali, palanty jedne! – wściekły wrzask Grubego słyszał nie tylko trzymający słuchawkę. – Myślicie, że można mnie oszukać? Zaraz u was będę.

– Ale... – nie było z kim rozmawiać. Gruby pewnie już wsiadał do samochodu.

– O co mu chodzi? Dostał nawet więcej, niż mieliśmy dać – zastanawiali się.

Trzy samochody, Gruby i uzbrojona po zęby jego obstawa, pędziły leśną drogą. Nagle z przodu drogę zablokowała im ciężarówka, a tył zamknęła druga. Konwój Grubego otoczyli policjanci, którzy wyszli z krzaków po obu stronach drogi. Nie było szans na jakikolwiek sensowny opór.

– O, pan Gruby – ucieszył się umundurowany czterdziestolatek. – Dobrze, że pana mamy. Jestem podinspektor Kowal. Zresztą zna mnie pan. O, a co tu mamy? – sięgnął po leżące na siedzeniu banknoty. – Fałszywe pieniądze! No, panie Gruby, tym razem pan się nie wywinie.

– Ale to nie moje! – już mówiąc to, Gruby zdawał sobie sprawę, że brzmi to równie wiarygodnie, co obrona babci przyłapanej na handlu bimbrem. Wiedział przecież, że pieniądze są fałszywe, właśnie w tej sprawiejechał spuścić łomot oszustom. Tyle że sam został złapany z fałszywkami.

Kowal jedynie się uśmiechnął.

Cała grupa Grubego została rozbrojona, skuta i zapakowana do jednej z ciężarówek.

Uformował się nowy konwój.

Zaskoczenie niedawnych „policjantów” było olbrzymie. Nie stawiali oporu, otoczeni przez kilkudziesięciu uzbrojonych prawdziwych stróżów

prawa, nie stawiali oporu. Wszyscy zostali sprawnie skuci i wyprowadzeni, a nienaruszone worki policzono i zapakowano do ciężarówki.

– Jak do nas trafiliście? – tak niedawno dumny z siebie blondyn spytał podinspektora.

– Widzisz, synu, te ładne plomby przy workach? Każda z nich zawiera małą nadajnik. Ale dla pewności pieniądze też wymieniliśmy wcześniej na podróbki. To dlatego wściekł się i jechał do was Gruby. Ha! – tym razem dumny był podinspektor. – A jeszcze po drodze zajrzemy do Grubego. Może znajdziemy coś równie ciekawego?

I rzeczywiście znaleźli. Pozostawiony do ochrony domu Łysy Heńka nie stawiał oporu. Wewnątrz odkryli leżące na wierzchu... pieniądze z banku. Potwierdziło to wyrytkowe sprawdzanie numerów.

– Skąd się tu wzięły? – zastanawiał się głośno podinspektor Kowal.
– Przecież stopniowo, dzień w dzień, wywoził je własnym transportem dyrektor banku, w miarę jak dostarczaliśmy mu fałszywek. Czy odzywał się do nas po napadzie?

– Tak – meldował jeden z policjantów. – Po przesłuchaniu powiedział, że musi się napić i uspokoić.

– Nieważne. Odnieśliśmy wielki sukces. Udaremniliśmy napad, odzyskaliśmy pieniądze i złapaliśmy początkujących bandytów, a przy tym i zawodowych gangsterów. Sukces, panowie!

W tym czasie dyrektor, właściwie już były dyrektor, uśmiechając się do siebie, zmierzał do zachodniej granicy. Miał powody do zadowolenia. W bagażniku niedbale rzucony leżał komplet kluczy. Nie były jakich, bo wykonanych ze szczerzego złota, a tylko powleczonych warstwą szarego metalu. Przewiezienie ich przez granice będzie banalnie łatwe.

To był dobry pomysł dogadać się z Grubym. W zamian za całą gotówkę z banku dostał doskonale odlane klucze... Odebrał je właśnie od Łysego Heńka, gdy Gruby był w drodze do bandytów, żeby reklamować otrzymane fałszywki.

– Panowie, odnieśliśmy sukces – mówił do najbliższych współpracowników szef miejskiej organizacji związkowej. – O naszej demonstracji było głośno w kraju. Dobra robota.



Przerwany mecz

Wysoki Sądzie, zacznę od tego, że nie jestem żadnym chuliganem. Jestem poważnym człowiekiem, na odpowiedzialnym stanowisku...

Słucham? No więc w naszym hotelu jestem odpowiedzialny za pionowy transport osób...

Tak, mówi się, że jestem windziarzem. No więc jestem poważnym człowiekiem i nie w głowie mi jakieś ekscesy. Tego dnia po pracy szedłem do biblioteki, bo ja bardzo lubię czytać, dowiadywać się nowych rzeczy o świecie i o ludziach. I po drodze zastąpiła mi drogę grupa młodzieży...

Dobrze, będę mówił wolniej. Ci ludzie mieli na szyjach kolorowe szaliki, robili dużo hałasu trąbkami i gwizdkami. Zatrzymali mnie i spytali, czy będę z nimi śpiewał, czy mają mi skuć mordę. Niezbyt dobrze śpiewam, ale zdecydowanie wybrałem pierwszą opcję. Nie wiedziałem tylko, co mam śpiewać, ale gdy zaczęli, szybko załapałem. Bo to szło tak:

Okej, okej, okej. Dymano, Dymano, hej. Okej!

Potem, gdy powtórzyliśmy tę pieśń ze trzy razy, przyszła pora na inną:

Gdy Dymano w polu gra,

Przeciwnik ze strachu... Przepraszam, Wysoki Sądzie, mogę dokładnie zacytować?

No dobrze, ja wiem, że każdy się domyśla, co robi przeciwnik. Oni też byli tego pewni. Tam były jeszcze inne zwrotki, ale w sumie chodziło o moralną i techniczną przewagę naszej drużyny.



Tak staliśmy w grupie na ulicy i śpiewali. Chciałem już odejść, ale powiedzieli, że jak tak z przekonaniem śpiewam, to muszę z nimi iść na mecz. Nie bardzo chciałem, zamierzałem przecież w bibliotece czytać o świecie i ludziach, ale oni się upierali.

Próbowałem im wytłumaczyć, że nie mogę iść, bo jestem nieumundurowany, nie mam nawet kominiarki – wszyscy mieli szaliki, nabijane gwoździami kurtki, obszerne spodnie z krokiem poniżej kolan, glany, kolorowe chusty, jakieś tajemnicze znaki. Ale powiedzieli, żebym się nie obcyndalał. No to powiedziałem, że nie mam biletu, ale mi wytłumaczyli, że idziemy falangą, więc wejdziemy, i że Mały też nie ma biletu, a nie cykorzy. Nie miałem już argumentu, więc poszliśmy. Po drodze przetestowani zostali kolejni przechodnie – tylko jednemu trzeba było skuć mordę, pozostali śpiewali jak z nut.

Rzeczywiście falangą weszliśmy na stadion, ale tu powstał problem, bo Czarny nawalił. Miał być, ale skitrał, bo go psy po mieście szukały. I teraz nie miał kto grać na bębnie. Powiedziałem, że Czarny mógł rzucić psom mięso, to by go nie ścigały, ale mi wytłumaczyli, że za mięso to dają wpierdol...

No dobrze, już nie będę, tylko ja Wysokiemu Sądowi chcę zarysować pełny obraz sytuacji. A to że za mięso dają wp..., przepraszam, to fakt. Potwierdzili to inni.

Jak się już wychyliłem, to powiedzieli, że ja mam zastąpić Czarnego. Poprowadzili mnie na dół trybuny. Co chwila przybijaliśmy piątkę, trochę to trwało. W końcu zobaczyłem bęben. Był strasznie wielki, jak sagan do prania bielizny, tylko o wiele większy. Dali mi takie duże tłuczki i miałem nimi walić w bęben. No to zacząłem walić. Mecz nie widziałem, nawet nie wiem, z kim graliśmy. Rytmicznie musiałem non stop bić w ten bęben. Jak się pomyliłem, to krzyczeli, żebym się nie kojkał i dostawałem blachę w kark.

Nie wiem, ile to trwało, ale w pewnym momencie koło mnie zaczęło się robić luźniej, a w końcu zobaczyłem, że mogę już nie grać na moim instrumencie, bo wszyscy polecili na sąsiedni sektor. On był wcześniej odgradzony i pusty, ale teraz z resztek płotu nasi ludzie robili miecze, znaczy z tych metalowych prętów, które trzymały ogrodzenie. Krzyczeli, żebym się nie op..., żebym się nie ociągał. No to pobiegłem z tymi



tłuczkaami, bo zapomniałem je zostawić. A tam już czerwoną wodę lali z sikawek. Ludzie się nap..., walczyli na miecze z tamtymi. I jeden, jak się zamachnął, to przyładował mi w baniak, znaczy w głowę. No i się obudziłem na komisariacie. Policja długo nie mogła mi wydrzeć z rąk tych tłuczków, tak je ścisakałem, i potem powiedzieli, że to niebezpieczne narzędzia i że za to dostanę bez zawiasów.

Ja proszę Wysoki Sąd o sprawiedliwy wyrok. Na nikogo nie napadłem, sam jestem pokrzywdzony i znalazłem się przypadkiem w sytuacji bez wyjścia. Wysoki Sąd sam mógł trafić na ten stadion. Jestem niewinny.

Z uzasadnienia wyroku skazującego: ... Sąd nie dał wiary wyjaśnieniom oskarżonego. Zasugerowana zapewne przez mecenasa linia obrony zawiodła. Na podkreślenie zasługują następujące fakty. W naszym hotelu nie ma windy, o czym obrońca, jako obcy u nas, może nie wiedzieć, a oskarżony, rzekomy pracownik hotelu, nie wie, bo nigdy w nim zapewne nie był. Biblioteka od miesięcy znajduje się w remoncie, zatem oskarżony nie mógł w niej nic czytać o świecie i ludziach. Rzekome tłuczki do grania na bębnie to ciężkie młoty kowalskie, zakwalifikowane przez policję jako narzędzia niebezpieczne. Kamery na stadionie sfilmowały oskarżonego, gdy razem z innymi chuliganami demoluje młotami ogrodzenie między sektorami. Kamery też uwieczniły moment, kiedy młot, którym oskarżony rozbijał płot, odbija się od słupa i trafia oskarżonego w czoło. Został on więc pokrzywdzony przez samego siebie.

Przeciwko oskarżonemu przemawia również wykazana w jego wyjaśnieniach inteligencja... Odpowiednio ukierunkowana mogłaby przynieść społeczeństwu korzyść. Została jednak wykorzystana do celów destrukcji.

Gołębek niepokoju

Opatrzność ucieka się niekiedy, a właściwie nawet często, do dziwnych sposobów urzeczywistniania swoich nieodgadzionych zamierzeń i wybiera do tego równie dziwnych wykonawców.

Niedawno oczy całego świata zwrócone były na stolicę Średniego Kraju. Tam właśnie miało dojść do spektakularnego pojednania tego kraju z wielkim, a nieprzyjaznym dotąd sąsiadem. Było to warunkiem tzw. odkręcenia kurków. Zapowiedziano spotkanie premierów obu państw. Głosy opozycji, twierdzące, że chodzi o upokarzający akt poddańczy, ze wzgardą traktowane przez media, nie były szczególnie donośne. Entuzjazmowano się na ogół historycznym przełomem, który zbliży do siebie dwa narody, od stuleci sobie wrogie. Nieoczekiwanie do spotkania jednak nie doszło, choć wszystko było przygotowane. Premier Wielkiego Kraju wyjechał straszliwie rozzłoszczony. Zamiast wielkiej przyjaźni ruszyła w jego państwie wielka nagonka medialna na Średni Kraj. Światowa prasa pełna była komentarzy i spekulacji na temat ukrytych przyczyn fiaska spotkania na szczycie. Na ogół winę przypisywano, jak jest w zwyczaju, Krajowi Średniemu, choć nie bardzo potrafiono sprecyzować jej istotę. Prawdziwej przyczyny niepowodzenia jednak nie odkryto.

Jak było naprawdę? Jako pierwsi odkrywamy kulisy wydarzeń.

W ambasadzie Wielkiego Kraju wszystko już było przygotowane. Premier, otoczony szczególnie liczną świtą i przedstawicielami głównych



mediów całego świata, spokojnie oczekiwał przybycia swojego mniej znaczącego kolegi, premiera Średniego Kraju. Hojnie szafowano szampanem i kawiozem. Dyskretne uśmiechy, przyciszone głosy, rytmizowane rubasznymi wybuchami śmiechu. Wiadomo: Wielki Naród rzadko i na krótko umiał – i chciał – wytrwać w granicach dyplomatycznej kindersztuby, przestrzeganej przez kulturalny świat.

Na drugim końcu miasta premier Średniego Kraju, w myślach wciąż usiłujący usprawiedliwić choćby przed sobą akt apostazji, którego właśnie miał dokonać, zbierał się do wyjścia. Towarzyszyć miał mu tylko jeden ochroniarz (to nie było bez znaczenia, zaprojektowano jego samotne wejście w tłum dworaków zebranych wokół jego wielkiego partnera).

Zajechała limuzyna, ochroniarz wyszedł, rozejrzał się, otworzył drzwi samochodu, po czym kiwnął głową. Z budynku wyszedł premier. Podszedł do samochodu i na chwilę przystanął. I ten moment wybrała Opatrzność na swoje działanie. Na czarnym, eleganckim garniturze premiera pojawiła się biała, rozplywająca się plama.

– O, kur... – zaklął premier i odruchowo spojrzał w górę.

W górę spojrzał i ochroniarz. I wtedy Opatrzność zadziałała po raz wtóry. Bolesniej. Drugi ładunek przelatującego gołębia trafił bowiem wprost w patrzące w górę oko.

Ochroniarz wrzasnął, zaklął i odruchowo zaczął wcierać sobie gołębi ładunek w bolące coraz bardziej oko.

– Nie trzyj – powiedział premier.

– Nie trzyj – powiedział urzędnik, który wypadł z budynku.

– Ale to boli, jak cholera...

– No, wiadomo, gołębie gówno jest żrące – pouczająco stwierdził premier.

– Dziękuję, pocieszył mnie pan – wymruczał z sarkazmem poszkodowany.

Zaczęło się zamieszanie. Jedni dzwoniли po pogotowie, inni próbowali łać ochroniarzowi wodę mineralną w oko, a ponieważ była gazowana, reakcja była nieoczekiwanie pienista. Premier w poplamionym garniturze tkwił w tym wszystkim trochę zagubiony.

– Muszę jechać – ocknął się. – Ale jak? W obsranym garniturze?



Gdy więc część kłębiących się ludzi usiłowała ratować oko ochroniarza, inni zaczęli gorączkowo szukać zastępczego garnituru. Co chwila rozbierali się różni urzędnicy, premier mierzył i okazywało się, że nic nie pasuje. Spodnie były to za krótkie, to za długie, to znowu za obszerne. Jeśli zaś spodnie pasowały, marynarka miała za krótkie rękawy albo wisiała jak worek.

– Nie pójde przeciw w swetrze – denerwował się premier. – Jeszcze mi, cholera, prysnęło na krawat.

Jedna ze sprzątaczek podjęła się szybko przeprać marynarkę, ale poddała się, gdy plama, zamiast zniknąć, rozszerzała jedynie swój zasięg.

– Zadzwońcie do ambasady i uprzedźcie, że się spóźnię, bo mam rządowe spotkanie – premier usiłował panować nad sytuacją.

– To nie będzie dobrze przyjęte, panie premierze – tłumaczył pijarowiec.

– A lepiej będzie przyjęte, jak powiem, że mnie gołąb obsrał?! – wrzasnął premier, z przejęcia opluwając parę osób wciskających go w kolejny garnitur.

– Przecież pana ministrowie są już w ambasadzie, więc jakie rządowe zebranie? Wkurzą się, że tak nieudolnie kłamiemy. Będą podejrzewali, że za ich plecami w ostatniej chwili spiskujemy z „imperialistami”?

– Zróbcie coś, zapewnijcie mi przynajmniej wolny przejazd przez miasto.

– To nie będzie łatwe. Wszędzie są korki i objazdy, bo przecież remontujemy sporo ulic – pijarowiec robił się błądliwy i spocony.

W końcu udało się skompletować garnitur, rozbierając aż trzy osoby (bo i kamizelka była niezbędna) i premier wsiadł do samochodu z innym ochroniarzem. Gdy wyjeżdżali przez bramę, o mało nie doszło do zderzenia z karetką pędzącą do rannego (czy należałoby powiedzieć nieelegancko: zasranego) ochroniarza. Zaraz po wyjeździe na ulicę, samochód premiera (i jego policyjna eskorta) utknął w gigantycznym korku. A gdy się z niego wydostał, po kilkuset metrach sformował się następny. Czy działała tu ręka Opatrzności, czy tylko rozbuchana inwencja inwestycyjna burmistrza, trudno powiedzieć. W każdym razie premier tkwił jeszcze w kolejnym korku, gdy jego szacowny gość czekający w ambasadzie po prostu się wściekł.

– *J...t' sabaki* – zakrzyknął. Zarządził powrót do domu. – Już ja im dam nasz gaz! Niech sobie namalują – mruczał do siebie zjadliwie.

Premier Średniego Kraju dotarł do ambasady, gdy kawalkada jego byłego już gościa zniknęła za zakrętem. Doznał jeszcze despektu ze strony zagranicznych ochroniarzy, którzy arogancko go spławili. Ze smutkiem powrócił do biura, żeby oddać ubranie.

Po kilku miesiącach okazało się, że akt przyjaźni nie był potrzebny, a nawet gdyby do niego doszło, poważnie krępowałby swobodę działań rządu. W kraju odkryto nowe złoża gazu, a przymuszeni sytuacją naukowcy opracowali skuteczną i tanią metodę jego pozyskiwania. Z sąsiedniego Wielkiego Kraju dochodził właśnie donośny odgłos zgrzytania zębami. Tak to – właściwie w ostatniej chwili – Opatrzność po raz kolejny okazała przychyłność wobec Średniego Kraju. I uratowała – tymczasem – honor premiera Średniego Kraju.



Opowieści



Procesy

I ncydent w parku zmierzał do swojego naturalnego końca. Rzecz rozgrywała się na niewielkiej polance, skrytej za dorodnym rododendronem, w cieniu rzadko rosnących wysokich drzew. Kobieta nie stawiała już oporu, czekając tylko gniewnie na uwolnienie się spod realizującego się właśnie Alfreda K.

Nagle, łamiąc jakby gotowy już wygasnąć scenariusz, zza krzaka wyskoczył jakiś człowiek, obrzucił Alfreda K. wulgarnymi słowami: – Gwałcicieee! Sk...syn! – i z rozmachu przyłożył mu pięścią w rozanieloną akurat twarz.

Stało się to już na oczach dwóch policjantów, którzy chwilę później dotarli na polankę. Policjanci rozdzielili całą trójkę i przystąpili do legitymowania. Akcję zakończyło aresztowanie.

Proces odbył się miesiąc później. Oskarżony Zenon M. został skazany na pół roku więzienia. W uzasadnieniu sąd stwierdził m.in.: *Współczesne społeczeństwo nie toleruje aktów agresji wymierzonych w jakiegokolwiek mniejszości. Oskarżony Zenon M. dopuścił się takiego czynu wobec Alfreda K. na oczach funkcjonariuszy policji. Poszkodowany Alfred K. jest zarejestrowanym członkiem mniejszości osób niewołających seksualnie i jako taki zasługuje na szacunek społeczny i ochronę ze strony organów państwa. Nie zasługują na uwagę usprawiedliwienia oskarżonego, jakoby ofiara gwałciła jego żonę, a on sam wezwał policjantów.*

Napaść na Alfreda K., przedstawiciela mniejszości, miała charakter zuchwały i jawnie prowokacyjny (tym bardziej że oskarżony nie ograniczył się do obelżywych słów i przeszedł do argumentu siły), a jako taka



zasługuje na szczególne potępienie ze strony organów demokratycznego państwa. Nie będziemy tolerować ksenofobii i nietolerancji! Wypada wyrazić solidarność z ofiarą, a z pogardą odrzucić postawę zatwardziałego napastnika.

Proces wzbudził, rzecz jasna, wielkie zainteresowanie mediów, jak zwykle tropiących z zaangażowaniem przejawy kołtuństwa, nietolerancji i nienawiści przekształcającej się w akty agresji wymierzone w mniejszości. Część prasy skrytykowała nawet wyrok, stwierdzając, że jego mała dotkliwość zachęci innych do następnych linczów. Przeprowadzono liczne wywiady z Alfredem K., stał się on nawet popularną postacią, z wdziękiem i swadą wypowiadającą się na rozmaite tematy społeczne.

Tymczasem jednak nienawistnicy nie dali za wygraną. Oto dwa miesiące później sensację wywołał kolejny proces, w którym Halina M., żona przebywającego w więzieniu Zenona M., usiłowała zszargać dobre imię Alfreda K. Oskarżyła go o gwałt, a siebie przedstawiła jako osobę ofiarę. I tym razem wszakże sąd stanął na wysokości zadania.

Fragmenty mowy sędziowskiej zgodnie relacjonowała cała prasa:

Sąd odrzuca nieudolne próby zrzucenia na ofiarę swego męża winy za jego haniebny czyn. Powódka, będąca żoną zatwardziałego kryminalisty, odbywającego karę w zakładzie penitencjarnym najwyraźniej przejęła od niego język agresji i nienawiści. Sąd wyraża żal, że procedura nie pozwala mu ukarać powódki w niniejszym procesie, zwraca jednak prokuraturze uwagę na tę sprawę i oczekuje stosownego postępowania.

Jako szczególnie godną pogardy sąd traktuje próbę wykorzystania prawa przeciwko pokrzywdzonemu panu Alredowi K. Oto powódka z zadziwiającym tupetem przekonywała, że jest członkinią mniejszości ofiar i jako taka rzekomo też podlegać ma ochronie prawa. Otóż nie, droga pani, prawo nie działa wstecz. Zanim doszło do incydentu w parku, nie była pani członkiem żadnej mniejszości. Jeżeli uważa pani, że jest nią obecnie, nie ma to w sensie prawa związku z tamtym incydentem.

Wystąpienie sądu nagrodziły gromkie brawa publiczności z licznym udziałem dziennikarzy.

Jak się dowiadujemy, Alfred K. zamierza kandydować w zbliżających się wyborach do Sejmu.



Azyl

Na peryferiach Jankowa, tam, gdzie miejski park stawał się podmiejskim lasem porastającym rozległe wzgórze, na dużej parceli stał szary dom. Otaczał go wysoki kamienny mur. Ażurowa, metalowa brama znajdowała się blisko miejsca, gdzie ulica Cmentarna zakręcała w prawo. Cmentarz, od którego nazwę wzięła ulica, znajdował się nieco dalej. Po przeciwnej stronie, naprzeciw bramy, dokładnie na rogu mieścił się skład węgla.

Mieszkańcy Jankowa właściwie nie zauważali tego domu, choć przecież często go mijali w drodze na cmentarz. Przyciśnięci konkretnymi pytaniami przyjezdnych, mówili o nim lakonicznie, z jakąś dziwną niechęcią, jak najszybciej zmieniając temat. Co jednak dziwniejsze, lokalizacji domu nie zauważał również sprzęt GPS, w jego okolicy po prostu „głupiał”.

Było ciepło jak na początek grudnia, ale znaczyło to tyle, że jezdnię pokrywała mieszanina roztopionego śniegu, soli, piasku i resztek jesiennych liści, a niebo zasłaniały ciężkie, nisko wiszące chmury, z których niemrawo opadał mokry śnieg. Okolica była rzadko zamieszkała, ot gdzieś daleko widać było domek, na ogół niezbyt malownicza. Rodzina Jaroszyńskich wczesnym popołudniem wracała właśnie z krótkiego wypadu na narty. Byli w dobrych nastrojach, śpiewali wspólnie piosenki, głównie z repertuaru siedmioletniej Agatki. Samochód prowadził jej ojciec, Marcin. Obok niego siedziała, pełniąca często rolę pilota, żona Hania, ładna blondynka z „końskim ogonem”.



- Oho, trzeba będzie nabrać benzyny – Marcin przerwał piosenkę.
- O tam, po lewej – chwilę później pokazała Hania.

Zjechali z szosy i powoli podsunęli się pod dystrybutor. Po lewej przy sąsiednim dystrybutorze kierowca luksusowej limuzyny skończył właśnie tankowanie i poszedł do baraku zapłacić. Wysiadając, Marcin zauważył, że ze zdezelowanego forda stojącego na uboczu po prawej wysiadł jakiś młody człowiek i szybkim krokiem zbliżył się do opuszczonej limuzyny. Sprawiając wrażenie, że ma do tego prawo, otworzył drzwi i zajął miejsce za kierownicą. Marcin szybko wsiadł do swojego samochodu, zapalił silnik i ruszył parę metrów do przodu, zajeżdżając drogę sąsiadowi.

Przez szybę widać było wściekłą twarz niedoszedłego kierowcy. Nie mogąc odjechać, wysiadł i dokładnie przyjrząwszy się Marcinowi oraz jego pojazdowi spokojnie powrócił do starego forda, z którego wcześniej wysiadł. Auto od razu wyjechało ze stacji.

Z baraku wyszedł właściciel uratowanego samochodu. Marcin opowiedział mu wydarzenie i wskazał oddalający się samochód złodzieja. Był gotowy podać numery rejestracyjne, a nawet pomóc w pogoni czy złożyć zeznania na policji. Właściciel limuzyny zdawkowo jednak podziękował i zdecydowanie odmówił jakiegokolwiek działania. Usiadł po prostu za kierownicą i odjechał.

Po zatankowaniu i kupieniu napojów rodzina wyruszyła w dalszą drogę. Ruch był umiarkowany, ale nie poruszali się szybko, bo pokrywająca jezdnię maź utrudniała jazdę. Agatka, siedząca w swoim foteliku, zajęła się jakąś grą w telefonie.

Rzuciwszy okiem w lusterko wsteczne, Marcin uczynił to powtórnie. Od tyłu zbliżały się dwa pędzące samochody.

- Co, u licha! – w pierwszym rozpoznał auto złodzieja ze stacji.
- Chcą mnie stuknąć?

Hania obejrzała się. Samochody nie zwalniały. Marcin przyspieszył.

One uczyniły to również i były już tak blisko, że Marcin mógł rozpoznać twarze jadących w pierwszym. Ford jeszcze przyspieszył, po czym uderzył w tył pojazdu Marcina. Uderzenie byłoby może groźne, gdyby moment wcześniej Marcin nie dodał gazu. Ford zaczął ich wyprzedzać. Marcin uważnie obserwował jego manewry. I gdy wysunięty



do połowy samochód nagle zaczął skręcać w ich stronę, odbił kierownicę, zjeżdżając lekko na pobocze, i znów nacisnął pedał gazu. Ford, który najwyraźniej miał ich zepchnąć z drogi, teraz znajdował się też na poboczu, tyle że za nimi.

Hania, z niepokojem obserwująca wydarzenia, sięgnęła do torebki po telefon i wystukała 997.

– Policja w Jankowie, słucham – odezwał się młody głos.

– Proszę pani, dzwonię z drogi. Jedziemy szosą w kierunku Jankowa i jacyś bandyci usiłują zepchnąć nas z drogi. Prosimy o szybką pomoc, bo za chwilę nas tu pozabijają...

– Powoli, powoli... Skąd mam wiedzieć, że to nie jakiś żart? Pani nazwisko?

– Hanna Jaroszyńska. To możemy liczyć na pomoc? Mamy w samochodzie dziecko!

– Nie mogę wysłać radiowozu.

– Jak to nie? Przecież jesteśmy atakowani na publicznej drodze...

W tym momencie rozpadło się lewe lusterko wsteczne. Słychać było strzał. Hania obejrzała się i zobaczyła wychylającą się z forda postać z pistoletem.

– ...i właśnie zaczęli do nas strzelać! – krzyczała. – Agatko – odwróciła się do córki – na podłogę! Wyjdź z fotelika.

– Ale ja nie mogę wysłać radiowozu – głos policjantki emanował spokojem. – I proszę na mnie nie krzyczeć.

– Pani nie krzyczy, jak ktoś do pani strzela? Dlaczego nie może pani wysłać radiowozu?

– Mamy tylko trzy radiowozy. Jeden jest zepsuty. Drugi pojechał do wypadku.

– A trzeci?

– Trzeci... – policjantka jakby się zawahała... – też jest zajęty.

– Aha, odwozi komendanta.

– Co? Skąd pani wie?

– Trafiłam? No to niech się pani połączy z tym trzecim radiowozem i skieruje do nas na szosę, zanim dojdzie do tragedii.

– Przecież tłumaczę pani, że nie mogę. Nie mam wolnych radiowozów.



– Czyli policja nam nie pomoże. To co mamy robić? Przyjedziecie, dopiero gdy będą trupy, tak?

– Proszę jakoś sobie radzić. Aha i słyszałam, że kazała pani dziecku wyjść z fotelika. To absolutnie zabronione w czasie jazdy. Naraża się pani na mandat karny.

– Wiesz co? – Hania już traciła panowanie nad sobą. – Wsadź go sobie go w dupę! Mam się przejmować durnym mandatem i ryzykować życiem mojej córki?! Coś ci się, panienko, poplątało.

Marcin, przysłuchując się rozmowie żony, jechał szybko, mając z tyłu napastników z bronią.

– No to jesteśmy skazani na siebie. Nikt nam nie pomoże – ocenił.

Z tyłu co jakiś czas padały pojedyncze strzały. Niecelne albo niegroźnie, trafiające w blachy samochodu.

– Pora na klasyczną sztuczkę – Marcin zamruczał do siebie. – Trzymajcie się teraz – rzucił szybko do Hani i Agatki.

Lecko przyspieszył, zaraz też zwiększyły prędkość samochody napastników. Gdy znalazły się tuż za nim, Marcin zdjął nogę z gazu i szarpnął hamulec ręczny. Samochodem zarzuciło, ale błyskawicznie wytracił szybkość. Nieostrzeżeni światłami stopu napastnicy z forda nie mieli możliwości wyhamować. Z impetem uderzyli w tył samochodu rodziny. Zaszło teraz kilka zdarzeń prawie równoczesnych: fordem gwałtownie zarzuciło, osobnik wychylający się z okna uderzył głową w słupek i natychmiast stracił przytomność, z bezwładnej ręki wypadł pistolet. Marcin natychmiast dodał gazu, w samą porę, bo w obróconego bokiem forda ze zniekształconą maską wbił się drugi ze ścigających samochodów. Chyba stary opel, który wyglądał już dużo gorzej niż przed chwilą.

Hania była oszołomiona, ale z dumą spojrzała na męża, wcześniej jednak upewniła się, że Agatka nie ucierpiała.

– Nie ma to jak posłuchać dobrej rady – Marcin zgrywał twardego. – No, tej policjantki – dodał, widząc, że Hania nie rozumie, o czym mówi.

– A, żebyśmy sobie jakoś poradzili.

– Może ci gangsterzy dadzą nam już spokój.

– Albo przeciwnie, wkurzą się niesamowicie – Hania zachowywała sceptycyzm.



Ruszyli. Może przez kwadrans jechali spokojnie. Motocyklista, który wjechał na szosę z jakiejś bocznej drogi, początkowo nie zwrócił ich uwagi. Gdy jednak zaczął zwalniać, lokując się tuż przed ich maską, zaczęli go obserwować. Kiedy prowadząc prawą ręką, drugą sięgnął pod kurtkę, Marcin zahamował i jechał teraz powoli, jakby czujnie. Motocyklista zaś wyjął spod kurtki pistolet i, rzucając spojrzenia do tyłu, oddał dwa strzały. Niecelne, ale też strzelanie z tej pozycji zakrawało na szaleństwo. Jechał nadal z wyciągniętą ręką, gotową do strzału.

– No to – Marcin nie tracił rezonu – pora na sztuczkę odwrotną. Znowu trzymajcie się.

Dodał gazu, samochód gwałtownie przyspieszył i już wkrótce prawie dotykał tylnego koła motoru. Przestraszony motocyklista obejrzał się, po czym zwiększył tempo jazdy. Marcin jednak nie pozwalał mu się oddalić. Przy dużej szybkości i na jezdni pokrytej śliską breją strzelanie było już niemożliwe. Motocyklista był w stanie jedynie rzucać wściekle spojrzenia na niedoszłe ofiary, które stały się jego prześladowcami. I to go zgubiło. Nie zwracał uwagi na drogę. Szosa akurat skręcała w lewo, on zaś nadal jechał prosto. Gdy zauważył błąd, było już za późno. Ciężki motocykl zjechał na pobocze i dalej, utykając w jakichś chaszczach, a jego kierowca, wyrzucony z siodełka, poszybował parę metrów w powietrzu i spadł ciężko w mokry śnieg.

– Nie wiedziałam, że masz tak krwiożercze instynkty – Hania po raz kolejny z podziwem spojrzała na męża.

– Myślę, że miałaś rację i wkurzyliśmy ich. Chyba nie odpuszczą.

Zbliżali się już do pierwszych domostw Jankowa, kiedy Hania, uważnie wpatrująca się w lusterko wsteczne, zauważyła szybko zbliżającego się opla ze zrujnowaną maską.

– Doganiają nas!

– Agatko – Marcin mówił spokojnie, ale stanowczo. – Włóż kurtkę i załóż swój plecak. Haniu, zbierz nasze dokumenty, pieniądze i telefony, i zapakuj je do plecaka Agatki.

Starał się jechać szybciej, wypatrując jednocześnie bocznej uliczki. Jak na złość silnik zaczął tracić moc – pewnie któryś ze strzałów motocyklisty okazał się jednak celny.



Skręcili w lewo, potem w prawo, znowu w prawo... Po kilku zakrętach sami stracili orientację w kierunkach. Najważniejsze, że utrudniali pościg.

Samochód sprawował się coraz gorzej, wyraźnie słabł. Marcin skręcił po raz ostatni w wąską uliczkę koło parku i zatrzymał się. Wsiadli nie zabierając bagażu. Marcin wziął Agatkę z jej plecaczkiem „na barana” i szybkim krokiem weszli do parku. Szli równolegle do ulicy. Miasteczka nie znali, chodziło jedynie o oddalenie się od samochodu, po którym było ich łatwo rozpoznać.

Prześadowcy byli jednak blisko. Ścigani usłyszeli, jak zatrzymuje się jakieś auto, najwyraźniej koło ich, porzuconego, jakieś krzyki czy przekleństwa. Zaczęli biec, byle dalej. Dobiegli do poprzecznej ulicy. „Cmentarna” – machinalnie odczytała Hania. „Jakieś fatum?” – pomyślała.

Marcin pośliznął się na jednej z pierwszych kostek bruku i łapiąc równowagę, skręcił nogę. Skrzywił się i zaczął kuśtykać. Agatkę bez słowa przekazał żonie.

– Musimy gdzieś się schować – powiedziała. – Nie da rady dalej tak biec. Może ktoś nas wpuści do domu.

Wypatrywali więc zabudowań, ale po drugiej stronie ulicy widzieli tylko jakąś ogrodzoną hałdę węgla. Szybkim krokiem poszli dalej. Z tyłu coraz głośniejszy był odgłos pogoni, przekleństwa, krzyki.

Kawałek dalej ulica zakręcała w prawo. Zobaczyli szary mur i bramę z żelaznej kraty, przez którą widać było dość duży dom. Ścinając zakręt, podbiegli do bramy. Oby była otwarta!

Była. Pchnęli jedno skrzydło i szybko weszli na podwórze. Kątem oka widzieli już kilka osób wyłaniających się z parku.

Dom stał trochę pod kątem do ogrodzenia. Drzwi były w lewym rogu, bliższym bramie.

– Boże, żeby było otwarte – szepnęła Hania. Było otwarte.

Kiedy pospiesznie wchodzili, zauważyli przerażeni, że czterech ścigających dobiegło już do bramy. Stanęli jednak przy niej i rozglądali się zdezorientowani. Nie zauważali trójki wchodzącej do domu, mimo że dzieliło ich od niej jedynie parę metrów.

W środku panowała cisza. Uciekinierzy znaleźli się w przestronnym hallu wyłożonym ciemną boazerią. Prawie naprzeciw nich



na wystających ze ściany kołkach wisiały jakieś ubrania. Po prawej, były szerokie schody prowadzące w górę, a jeszcze dalej wnęka, prawdopodobnie otwierająca wejście do wnętrza domu. Podobne wejście było i po lewej stronie wieszaka.

– Halo! Jest tu kto? Dzień dobry – zawołała Hania, ale odpowiedzi nie było.

Starannie wytarli buty w grubą wycieraczkę. Zdjęli kurtki i powiesili je na wieszaku. Agatka jednak zostawiła sobie swój plecaczek.

Nadal była cisza.

Jakoś automatycznie skierowali się ku lewemu, bliższemu wejściu.

Znaleźli się w wysokim, obszernym ni to pokoju, ni korytarzu o kamiennej podłodze. Po lewej mieli duże okna, po prawej, parę metrów dalej, jakieś drzwi. Drzwi były i na wprost wejścia. Szli powoli w ich kierunku, trzymając się za ręce.

– Szukają nas – Marcin wskazał głową widoczną przez okno rozproszoną grupę przeszukującą porośnięte krzakami wzgórze tuż za murem posesji.

– Ale są zawzięci!

– Może mają do nas jakiś interes – skomentowała poważnie Agatka.

– Tak, pewnie mają interes. Może chcą nam sprzedać luksusowy samochód – Marcin wymownie spojrział na Hanię ponad głową Agatki.

Doszli do drzwi. Były półotwarte. Minąwszy je, zobaczyli salę podobną do tej, z której przyszli, jedynie pod ścianami stało kilka foteli, jakiś stolik, w rogu duża palma.

– Ciekawe, kto tu mieszka... – Hania odzywała się właściwie po to, żeby nie sprawiać wrażenia, że się skradają. W końcu byli w cudzym domu.

– Może jakiś król – podsunęła Agatka.

Minęli już kilka podobnych sal, ale nikogo nie napotkali.

– Tak idziemy i idziemy – mówiła Hania – i końca tego domu nie widać. Z zewnątrz wcale nie wyglądał na taki duży.

– Każdy dom wewnątrz jest większy niż na zewnątrz, ale ten rzeczywiście wyjątkowy. Mam rzeczywiste wrażenie, jakbyśmy byli w pałacu. Agatka ma rację.

– A jak twoja noga? Zdaje się już nie kulejesz.

– Tak, zupełnie nic nie czuję. Jakbym nigdy jej nie skręcił.



- Muszę siusiu – Agatka stworzyła nowy problem.
- Poszukamy, gdzie tu się da to załatwić.

Weszli w boczny korytarz z szeregiem drzwi po obu stronach. Hania zapukała w pierwsze z nich, a nie usłyszawszy nic, weszła. To była akurat łazienka!

Czekając na swoje dziewczyny, Marcin z ciekawością, ale już beznamiętnie, obserwował trwające na wzgórzach poszukiwania. Część grupy rozglądała się po krzakach, część po skraju lasu. Zaczynało się ściemniać, co też nie ułatwiało poszukiwań. Marcin wszakże daleki był od współczucia. Tym bardziej że domyślał się, iż rozczarowani bandyci wywrą zemstę na pozostawionym samochodzie.

Idąc dalej, usłyszeli w kolejnej sali jakieś odgłosy rozmowy, dziecinny śmiech. I nagle drzwi z boku otworzyły się i wyjechała z nich dziewczynka na trójkołowym rowerku. Była trochę młodsza od Agatki i miała duże różowe kokardy na warkoczykach. Wykonała obszerny zakręt i stanęła przed Jaroszyńskimi.

- Dzień dobry – powiedziała śmiało. – Jestem Hania.

- O, moja mamusia też jest Hania. A ja nazywam się Agatka. A to jest mój tatuś – pospieszyła z informacją Agatka.

- Haniu, a gdzie jest twoja mama? – „duża” Hania jak najszybciej chciała się usprawiedliwić przed gospodarzami z wtargnięcia do ich domu.

- Nie wiem. Tu jest tylko babcia – dziewczynka już zaczynała pedałować. – I dziadek – dodała.

- Zaprowadzisz nas?

- Dobrze. Będę jechała powoli – zapewniła, pedałowując w stronę drzwi.

Nie było daleko, zaraz za drzwiami otwierał się korytarz, równoległy do owego łazienkowego. Pierwsze drzwi po lewej były półotwarte.

- Babciu, babciu – zawołała Hania – jakieś ludzie do ciebie. I jest tu też Hania!

- Oj, dziecko – odezwał się jakiś głos z wnętrza – jak ty mówisz!

Drzwi otworzyły się szerzej i stanęła w nich starsza kobieta z kokiem siwych włosów. Ubrana była w długą brązową sukienkę i jakiś kubrak.

- Dzień dobry, witam państwa – miła twarz była rozpromieniona.
- Jestem Hofmanowa.



– Dzień dobry. Nazywamy się Jaroszyńscy, a to jest Agatka. Przepraszamy za to wtargnięcie. – Marcin przeszedł do wyjaśnień. – Widzi pani, musieliśmy uciekać...

– Niech pan się nie przejmuj. My wszyscy tutaj jesteśmy uciekinierami. Codziennie ktoś przybywa...

– A co gospodarz na to?

– My jesteśmy tutaj parę miesięcy i jeszcze go nie poznaliśmy. Czasami myślę, że żadnego gospodarza nie ma...

– To ilu ludzi tu mieszka?

– Oj, nie wiem ilu, bardzo dużo. Nie wszystkich nawet znam. Ale nie będziemy rozmawiać w drzwiach. Zapraszam, wejdźcie państwo.

– Nie sprawimy kłopotu? – krygowała się Hania.

– Ależ proszę. O, poznajcie mojego męża.

Wysoki, trochę kościsty mężczyzna, z zaczesanymi do tyłu siwymi włosami, ubrany w dwurzędowy garnitur i kamizelkę, przedstawił się jako Bernard Hofman.

Weszli do pokoju urządzonego bardzo tradycyjnie, z fotelami, oszklonymi serwantkami i ustawionym centralnie okrągłym stołem. Wszędzie pełno było robionych na drutach serwetek.

– Oj, trzeba zapalić światło – gospodarz przekręcił czarny wyłącznik przy drzwiach. Zaświeciło się kilka żarówek wiszącego nad stołem żyrandola. Światło wpadające przez okno było już mocno stłumione.

– Proszę, siadajcie państwo przy stole – zapraszała gospodyni – a ja zaraz przygotuję herbatę.

W rogu pokoju sąsiadującym z drzwiami stał samowar, wokół którego pani Hofmanowa dokonywała tajemniczych czynności.

– Agatka może się pobawić z Hanią – mówiła przez ramię. – Haniu, pokaż Agatce swoje zabawki.

Dziewczynki poszły razem do drugiego pokoju, widocznego w głębi.

– To państwo są tu od paru miesięcy? Przed kim uciekaliście, jeżeli to nie tajemnica? – dopytywał się Marcin. – Mam nadzieję, że nie jestem wścibski...

– No nie – uśmiechnął się gospodarz. – Tutaj bardzo często opowiadamy sobie swoje przygody. My akurat uciekaliśmy przed Niemcami. Nasz syn i synowa działają w Armii Krajowej...

– Ale... – zaczął Marcin, lecz urwał, dyskretnie trącony nogą przez żonę. – Nic, nic, przepraszam, niech pan opowiada dalej.

– No i dostaliśmy ostrzeżenie, że gestapo ma przyjść do nas do domu. Trafilibyśmy w najlepszym razie do obozu albo szantażowaliby nasze dzieci, że nas skrzywdzą, jeśli oni się nie ujawnią. W pół godziny zwinęliśmy się i uciekli razem z Hanią. Tułaliśmy się tak, parę razy mało nie wpadliśmy, raz uciekliśmy z łapanki... I tak, wędrując przez Polskę, przypadkiem trafiliśmy tutaj. Nie mieliśmy co jeść, chcieliśmy tylko poprosić o jedzenie.

– I tak zostaliśmy – wtrąciła gospodyni – i jesteśmy szczęśliwi. Tylko tęsknimy za dziećmi. Może kiedyś tu trafią i się połączymy.

Zaczęła rozstawiać talerzyki i filiżanki z herbatą, tackę z jakimiś ciastkami.

– Tutaj – podjął opowieść pan Bernard – mieszka sporo ludzi, nieraz są bardzo dziwni. Właściwie każdego dnia ktoś przybywa. Dzień przed nami pojawili się Goldmanowie, też uciekali przed Niemcami, prawda, Basiu? – zwrócił się do żony.

– Prawda, tylko nie dzień, ale trzy dni przed nami – mówiła Hoffmanowa. – A jak to było z państwem?

Wzajemnie się uzupełniając, Jaroszyńscy opowiedzieli swoją historię.

Siedzieli tak, rozkoszując się ciepłem i przytulnością pokoju. Nieśpiesznie rozmawiali o sprawach ważnych i nieważnych.

Usłyszeli pukanie i po podwójnym „proszę!” do pokoju wkroczyła dama – inaczej tej osoby nie można było określić. Nosiła ciemnozieloną, bardzo obfitą suknię do ziemi, z długimi rękawami, bardzo wciętą w tali, ze stojącym kołnierzykiem i koronkowym żabotem. Miała duży, ciemny kok, ale zupełnie inny niż pani Basia, obfity, pękaty, starannie ułożony. Cerę miała dość bladą, twarz drobną, z błyszczącymi oczami. Uosobienie modnej damy z początku XX wieku!

– O witam, pani Ewelino! – gospodyni uśmiechnęła się. – Mamy akurat nowych gości, proszę, niech pani do nas dołączy.

Pan Bernard podniósł się z krzesła, a za jego przykładem również Marcin.

– Dzień dobry państwu. Jestem Żmijewska – przedstawiła się Hani i Marcinowi. – Właściwie to wpadłam tylko oddać płyty patefonowe



i pożyczyć następne, nie chciałabym przeszkadzać. – w jej głosie porzmięwała jakaś śpiewność.

– Proszę siadać, zaraz podam herbatki. Opowiadamy tu swoje losy. Na pewno państwa zainteresuje pani historia. Proszę opowiedzieć.

Pani Ewelina dosiadła się do stołu.

– Mój mąż, Jacek – zaczęła nieśmiało, lekko się rumieniąc – był ode mnie trochę starszy, o szesnaście lat. Całe życie był człowiekiem bardzo pracowitym. Po krewnych otrzymał bardzo skromną schedę. Wytrwale jednak ją pomnażał. Z kasy otrzymał duży kredyt. Dzięki temu zbudował browar. Szybko spłacił kredyt, bo piwo, które produkował, zyskało powodzenie. Wkrótce znane było i w Petersburgu, i w Moskwie, i w Odessie czy Kijowie. Chętnie je też zamawiali arendarze na Litwie. Jacek zatrudniał ludzi pracowitych jak on i znających się na rzeczy. Wkrótce kupiliśmy majątek w pobliżu naszego browaru. Zbudowaliśmy dworek. Bóg nie pobłogosławił nas dziećmi – życie wypełniała nam praca, ale dbaliśmy też o poziom życia ludzi żyjących wokół nas. Łożyliśmy na szkołę dla dzieci włościańskich, zdolniejsze wysyłaliśmy na studia do Warszawy czy Petersburga.

W naszym majątku mieliśmy jezioro. Oboje dbaliśmy o wszelkie żywe stworzenia. Jacek nie był typowym ziemianinem. Nie lubił polowań, uważał je za płochą rozrywkę kosztem cierpień żyjących istnień. U nas nie było żadnych polowań, a nasze jezioro stało się gościnnym domem dla dzikich kaczek, czapli. Las kończył się u samego brzegu. Czasami więc widywałam tam sarenki, zające, lisy... Lubiłam tam zachodzić.

Podczas któregoś zjazdu browarników w Bawarii Jacek kupił z fabryki pana Daimlera automobil. Mimo marnych dróg odbywaliśmy nim podróże po okolicy. To był pierwszy automobil w naszej guberni. Niedługo sama opanowałam sztukę jego prowadzenia. Przydała mi się później ta umiejętność...

Jacek, niestety, podupadał na zdrowiu, przyplątały się suchoty. Żle przy tym znosił bezczynność, chciał pracować, miał różne projekty, których nie mógł już zrealizować. Był przez to nieszczęśliwy. Oczywiście wyjeżdżał na różne kuracje do Zakopanego i Baden-Baden. Nic go jednak nie uratowało. Pochowałam mojego męża na naszym wiejskim cmentarzu – pani Ewelina zamilkła na chwilę, a słuchacze nie zakłócili ciszy.



– Początkowo – podjęła opowieść – praca browaru szła bez zmian, potem jednak przypadkiem mój zaufany księgowy odkrył, że plenipotent, którego Jacek zatrudnił w ostatnim okresie życia, fałszuje papiery, zawyża ceny, oszukuje kupców. Zwolniłam go natychmiast. On jednak nie zamierzał opuścić majątku. Zaczął mi grozić, otaczał się jakimiś podejrzanymi indywiduami. Podburzał przy tym robotników, namawiał do strajku, mimo że nie było po temu żadnych racji. Wszystko po to, bym przepisała na niego cały browar. Ot tak, prawem kaduka. Było coraz gorzej. Pewnej nocy Kasia, moja pokojówka, obudziła mnie. Starając się o nią mechanik z browaru podsłuchiwał, jak bandyci zrywali się, żeby nad ranem podpalić mój dom.

Zabrałam dokumenty i najpotrzebniejsze rzeczy i wyjechałam samochodem. Kasia, mimo że ją namawiałam do pozostania, zdecydowała jechać ze mną. Przez noc ujechałyśmy ze sto wiorst. Za dnia pojechałyśmy dalej. Okazało się wszakże, że byłyśmy tropione. Bandyci szli za nami od miasta do miasta. Niby mogłam iść na policję, ale wzdrażałam się prosić o pomoc carskich urzędników, łasych na ruble, nieskorzych do pomocy, a za to gardzących Polakami. Po paru dniach ucieczki z braku paliwa musiałam porzucić samochód. Uciekałyśmy koleją, potem dorożką. I tak trafiłyśmy tutaj. W tym domu chciałyśmy tylko odpocząć, ale jesteście tu już drugi rok.

Siedzieli tak przy stole, gwarzyli miło, wspominając dawne i nowsze czasy. Poplotkowali trochę o sąsiadach, niezłośliwie śmiejąc się choćby z przyjaźni księdza Pasiecznika z rabinem Dojczgewandem. Pan Hofman orzekł, że przydałby się jeszcze pastor i imam, bo czwórka do brydża byłaby w komplecie, a tak obaj duchowni czynić muszą zasadzki, żeby znaleźć partnerów do kolejnych rozgrywek. Opowiadając o innych mieszkańcach domu, ktoś wspominał o inżynierze, który stara się zbadać tutejsze tajemnice. Zainteresował się tym Marcin. Gospodarze wytłumaczyli mu, że inżynier mieszka w następnym korytarzu, równoległym do ich własnego. Postanowił odwiedzić go. Hania nie wyrażała wielkiego zainteresowania, została więc w gościnie, a Marcin poszedł.

Trafił łatwo. Zapukał i wszedł, usłyszawszy głośne „proszę!”. Powitał go krępy łysawy mężczyzna, który przedstawił się jako Bronisław



Lachowski. Pokój był urządzonej nowocześniejszej niż mieszkanie Hofmannów, ale różnice były niewielkie.

Marcin spytał, czy nie przeszkadza, usłyszawszy zaś zaprzeczenie, zachęcony przez gospodarza i poczęstowany kieliszkiem nalewki, opowiedział, jak znalazł się tu z rodziną. Nie musiał zbytnio namawiać inżyniera, by ten opowiedział swoją historię.

Pracował on jako szef produkcji w prowincjonalnym zakładzie produkującym gumowe uszczelki. Był początek lat 50., panowała bieda, a jednocześnie przygniatająca wszechobecność komunistycznej propagandy. Ludzie byli przygnębieni, czuli się stłamszeni i bezradni, dominował strach. Władze organizowały „czyny produkcyjne”, zachęcały do „współzawodnictwa pracy”, przekraczania norm produkcyjnych, tworzyły kult wokół „przodowników pracy”, w rzeczywistości panował niewydolny system półniewolniczy. Podwładni inżyniera i on sam też musieli uczestniczyć w tych bezsensownych obrzędach. Zarabiali mało, a zmuszani byli do ciągłego okazywania entuzjazmu, w dodatku ów socjalistyczny system pracy powodował olbrzymie marnotrawstwo.

Kiedyś dyrektor wyjechał na wielodniową naradę w centrali, a wszechmocny sekretarz partii poważnie zachorował i znalazł się w szpitalu, wskutek czego Lachowski nieoczekiwanie został nieformalnym szefem całego zakładu. Postanowił, przynajmniej na krótko, wprowadzić normalne zasady produkcji, czyli po prostu płacić robotnikom za wykonaną pracę. Zastosował akord i lepszą organizację. I z dnia na dzień w zakładzie, który od lat nie potrafił wykonywać założonych norm, produkcja ruszyła z kopyta. Nie trzeba było nikogo wzywać do czynów produkcyjnych, zastraszać i zanudzać ideologią. W ciągu dwóch tygodni zrobiono więcej niż dotychczas w ciągu kwartału. Zgłaszali się liczni zachwyceni zaopatrzeniowcy z całego kraju. Zadowoleni byli też pracownicy. Nie było bzdurnych zebrani ani ciągłego szpiegowania i zarabiali tyle, ile wypracowali. Katastrofa nadeszła wraz z powrotem dyrektora. Okazało się, że inżynier winien jest zbrodni przeciw pryncypiom ustrojowym. To, że wielokrotnie przekroczył plan produkcji, stanowiło również zarzut. Zużył bowiem surowce przewidziane na kolejne miesiące. To, że można by je kupić z zysków ze sprzedaży zwiększonej produkcji, nie mieściło się w wyobraźni socjalistycznych decydentów.

Inżynier został karnie zwolniony z pracy. Nie został jeszcze aresztowany, ale śledzono go i był poddawany wielogodzinnym przesłuchaniom. Wmawiano mu oczywiście szpiegostwo i uprawianie imperialistycznej propagandy. Żądano ujawnienia współników. Przeciw niemu świadczyć miało i to, że nie należał do partii komunistycznej.

– Którejś nocy po prostu drapnąłem, panie Marcinie – kończył opowieść. – Po prostu nie wytrzymałem, a nie widziałem sensu dobrowolnie poddawać się tym palantom. Dzieci już miałem dorosłe, rzadko je zresztą widywałem, a żonę pochowałem tuż po wojnie. Mogłem więc uciec, nikogo nie krzywdząc. Do tego domu trafiłem przypadkiem, tak jak wszyscy.

– Słyszałem, że docieka pan tajemnicy domu...

– Tak. Wie pan, mam taki nieco techniczny umysł. Inni przyjmują to wszystko, co tu się dzieje, w sposób naturalny. Ja usiłuję odkryć dlaczego i jak. Choć mogę powiedzieć, że ponoszę same porażki. Owszem, trochę obserwacji można zebrać, ale jak racjonalnie wytłumaczyć wszystkie tutejsze zjawiska, nie mam, niestety, pojęcia.

– Niech pan opowie, czego się pan dowiedział.

– Więcej tu pytań niż sensownych odpowiedzi. Przede wszystkim obserwacja jest bardzo trudna, jakby sam dom nie chciał być badany... Wiem, jak to brzmi – roześmiał się. – Ale nie jestem wariatem. Dajmy na to, znajduje się pan w windzie i chce pan dowiedzieć się o niej jak najwięcej. Można powiedzieć, czy jedzie w górę, czy w dół, ale na jakiej zasadzie działa? Porusza się na linach czy na kołach zębatych, a może to winda hydrauliczna? Automatyczna czy sterowana z zewnątrz? Będąc w środku, nie jest pan w stanie tego wszystkiego stwierdzić. Nie można być nawet pewnym liczby pięter budynku, bo przecież są windy jeżdżące do połowy wysokości, czyli same przyciski niewiele nam powiedzą. Pewnych rzeczy można się domyślać, ale pewności się nie ma. Obserwuję więc i próbuję wyciągać możliwe wnioski.

– I...?

– Zauważył pan z pewnością, że ten dom jest znacznie większy wewnątrz niż na zewnątrz.

– No oczywiście.



– Racjonalnie tego się nie da wytłumaczyć. No, można próbować teorii wielowymiarowości świata, ale ja się na tym nie znam, jedynie o czymś takim słyszałem. Przemawia za tym choćby sprawa...

– ...okien – z zastanowieniem dokończył Marcin. – Mieszkanie państwa Hofmanów nie ma styczności z jakąkolwiek ścianą zewnętrzną, a jednocześnie ma okno wychodzące na zewnątrz.

– Zauważył pan to! – z radością zawołał inżynier. – U mnie też jest takie okno, niech pan spojrzy. A przecież dom ciągnie się dalej...

– No właśnie.

– Ja oczywiście poznałem tylko część domu. Nie wiem nawet, jak wyglądają inne jego skrzydła. Ale są tu jeszcze inne cuda. Ludzie, którzy tu przybywają, pochodzą z różnych czasów. Są tacy, którzy żyli i przed ponad stu laty, ale wszystkim się wydaje, że są tu bardzo krótko.

– Jak pani Ewelina.

– Tak. Ale dochodzę do wniosków wręcz fantastycznych. My jednocześnie jesteśmy tu krótko, ale i od dawna. To wydaje się sprzecznością, ale jest inaczej. Zaobserwowałem jakby skoki czasowe. Każdego dnia przybywa ktoś nowy, ale nam się tylko wydaje, że dzieje się to dzień po dniu. Pomiędzy tymi dniami nas jakby nie ma. Nie wiem, śpimy, zapadamy w letarg... W każdym razie do życia powołuje nas przybycie kolejnych... gości. Na ogół tego nie dostrzegamy, ale przecież widzimy różnice w modzie kolejnych przybyszy, w języku, w technice. Bo poszczególne osoby znają przecież wynalazki, o których ich poprzednicy nie mają pojęcia.

– No właśnie. Chce pan zobaczyć, jak teraz wygląda telefon?

– Oczywiście. Za moich czasów telefon był marzeniem. Składało się podanie i po miesiącach czekania otrzymywało się najczęściej odmowę.

Marcin wyjął z kieszeni swoją komórkę, a inżynier z zainteresowaniem ją oglądał, wypytując o szczegóły.

Pozachwycawszy się, wrócił do pasjonującego go tematu. – Wie pan, pokoje tutaj nieznacznie, stopniowo dostosowują się do mieszkańców. Zauważył pan, że mieszkanie Hofmanów czy moje wygląda tak, jak w naszych czasach?

– Tak. A jak to się dzieje? Sami je urządzacie?

– Nie, to się dzieje niepostrzeżenie. Zachodzą drobne zmiany, które wpływają stopniowo na atmosferę mieszkania. Nie wiem, czy był pan u pani Eweliny.

– Nie, tylko ją poznałem.

– Ona, na przykład ma same lampy naftowe...

– A jak jest z żywnością? Przecież nikt z was nie wychodzi na zewnątrz.

– O właśnie, jeszcze jedna tajemnica. Każdego dnia jedzenie po prostu jest. Nie mam pojęcia, jak się to dzieje. Nikt nie zwraca na to uwagi, ale ja, choć się zastanawiam, do niczego nie doszedłem.

– W ogóle nie wychodzicie na zewnątrz?

– Nie do końca. Jest tu wielki wewnętrzny dziedziniec. Jeśli pan chce, mogę zaraz pokazać.

Marcin był ciekawy, więc poszli. Inżynier Lachowski nie zamykał drzwi na klucz. Wyjaśnił, że nie ma tu takiego zwyczaju.

Idąc korytarzem w głąb domu, nadal omawiali jego tajemnice.

– Tam po prawej – inżynier wskazał boczny korytarz – jest sala do ćwiczeń gimnastycznych i pływalnia. Często korzysta z niej nasz ksiądz. A w ogóle pobyt tu sprzyja zdrowiu, nie tylko dlatego, że można ćwiczyć, ale dosłownie: tutaj się nie choruje.

– A wie pan, to prawda. Tuż przed przyjściem tutaj skręciłem nogę. Bolała tak, że ledwo szedłem, a zaraz po wejściu do domu jak ręką odjął. A ilu tu w sumie mieszka ludzi?

– Trudno powiedzieć, ale można oszacować, biorąc panią Ewelinę jako wskaźnik – roześmiał się. – Przynajmniej nie znam starszego od niej gościa. Zakładając, że jest tu ponad rok i że codziennie przybywa tu od jednej do trzech osób, można przyjąć, że jest tu ponad siedemset osób.

– Siedemset! – zakrzyknął Marcin. – To przekracza wyobrażenie. A są tacy, którzy nie pozostają?

– Przypuszczam, że to możliwe, ale nie słyszałem o kimś takim. A państwo zostajecie?

– Nie. Sądzę, że jednak wyjdziemy.

– No to będzie jeszcze jedno ciekawe doświadczenie więcej. Choć jeśli będzie wam źle, wróćcie tu.



Doszli do dwuskrzydłowych drzwi w ścianie na wprost. Wyszli na zewnątrz. Był już wieczór. Wielkie podwórze z trzech stron ograniczały skrzydła domu, z czwartej, widać było otwartą perspektywę z nieokreślonym krajobrazem. Prawie cała powierzchnia porośnięta była trawą, poprzecinaną ścieżkami. Gdzieniedzie stały ławeczki, donice z większymi krzewami. Widać było przechadzających się ludzi, kilkoro dzieci jeżdżących na rowerach.

– Zupełnie nie znam tamtej części domu – inżynier wskazał przeciwnie leżące skrzydło. – Mam tylko swoją teorię.

– Niech pan mówi, jestem ciekaw – zachęcił Marcin.

– Wszyscy uciekinierzy, których znamy, są niewinni, nie są przestępcami, w niczym nie zawinili. Pamięta pan, że przy wejściu, po prawej od schodów zaczyna się drugi korytarz, równoległy do tego, którym wszyscy weszliśmy. Przypuszczam, ale nie mam ku temu danych, że ten prawy korytarz wybiera inna kategoria uciekających. Myślę, że tam chronią się różni złodzieje, bandyci, oszuści.

– Mam poczucie nierzeczywistości. Gdyby to wszystko pokazali w telewizji, nikt by nie uwierzył.

– Telewizja? – zainteresował się inżynier. – Przed wojną były u nas pierwsze próby, później zaczęli je komuniści. Ciekaw jestem, jak to wygląda teraz.

– Akurat ja i moja żona pracujemy w telewizji. Żona jest prezen-terką i dziennikarką...

– Prezen-terką? Rozdaje prezenty? – półzartem spytał inżynier.

– Inaczej: spikerką, czyta teksty. A ja jestem kamerzystą.

Inżynier bardzo się tym zainteresował i Marcin musiał mu długo opowiadać o telewizji.

Pospacerowali trochę, po czym wrócili do domu. Marcin pożegnał się z inżynierem i powrócił do mieszkania Hofmanów. Zachęceni do tego przez doświadczonych mieszkańców, Jaroszyńscy zajrzeli do jakiegoś pokoju i upewniwszy się, że nikt w nim nie mieszka, zajęli go na nocleg. W części kuchennej znaleźli chleb, sery, wędliny, sporządzili więc kolację i poszli spać. Już leżąc w łóżku, Marcin opowiedział Hani rewelacje, jakie usłyszał od inżyniera.

Od rana poznawali kolejnych rezydentów. Na obiad poszli do tęgiej krawcowej z bardzo chudym mężem. Po południu trochę spacerowali,

a Agatka jeździła na pożyczonym od Hani rowerku. I wtedy właśnie spotkali inżyniera Lachowskiego.

– Dobrze, że państwa widzę – mówił, gdy już został przedstawiony Hani. – Zapomniałem wczoraj powiedzieć panu Marcinowi, że jeśli chcecie opuścić dom, musicie to zrobić w ciągu tej samej doby. Następna okazja pojawi się, gdy przybędzie tu ktoś następny, a zupełnie nie wiadomo, kiedy to będzie. O której pojawiliście się państwo wczoraj?

Spojrzeni po sobie niepewnie. – Mniej więcej o tej porze – zawahał się Marcin.

– To nie marnujcie czasu. Biegnijcie do wyjścia!

Hania już ściągała Agatkę z roweru, a Marcin pobiegł do pokoju po plecak z dokumentami. Wkrótce cała trójka, żegnana okrzykami znajomych, pędziła ku wyjściu.

– Szybko, szybko – przynaglał Marcin.

Byli już blisko holu, kiedy zaczęli odczuwać rosnącą ociążałość. Każdy krok wymagał sporego wysiłku, jak bieg w kisielu, ale wytrwale dążyli do wyjścia.

Nie trudzili się sięganiem po kurtki wiszące na wieszaku. Przewyciężając rosnący opór, otwarli drzwi i wyszli. Opór ustąpił całkowicie.

Znów byli na zewnątrz. Trochę z niepokojem rozejrzeli się wokół, ale nikt z bandytów na nich nie czekał. Przekroczyli więc bramę i poszli w kierunku miasteczka.

Gdy byli tam wczoraj, ulice pokrywała mokra breja, drzewa mierzyły w ciężkie niebo czarnymi gałęziami. Teraz zaś zielen wręcz atakowała oczy. Drzewa pokrywały świeże liście, niektóre zaś epatowały bogactwem kwiatów. Błękit nieba kontrapunktowało ostro świecące słońce.

– Mamusiu – zawołała Agatka — to już wiosna przyszła? A miała być choinka... Nie będzie choinki?

Rodzice byli równie zadziwieni jak dziecko, choć Marcin szybko zrozumiał, co się stało.

– Marcinie – powiedziała Hania – mam wrażenie, że nam się to wszystko przysniło. Mimo wszystko to sen z happy endem.

– Tylko jak na sen, to zbyt wiele w tym szczegółów. I logiki – Marcin nie był pewny, co o tym sądzić.



Bez wielkich nadziei poszli w miejsce, gdzie zostawili samochód. Nie byli zaskoczeni, gdy go nie znaleźli. Wyruszyli więc pieszo w kierunku centrum. Mimo że bez kurtek byli i tak ubrani za ciepło. Po zdejmowanymi swetrami przewiązali się w pasie. Po drodze Marcin kupił w kiosku gazetę. „Wyborczą”, bo tylko taka była. Sprawdził datę.

– Nie było nas ponad cztery miesiące. No, no! To się nazywa mieć urwany film! A ja wypilem tylko jeden kieliszek u inżyniera...

– I przerzuciło się na mnie i na Agatkę, ty pijaku! – Hania z czułością potargała włosy męża.

Kupując w sklepie napoje, Marcin zapytał sprzedawczynię, do kogo należy dom na rogu ulicy Cmentarnej, tuż koło cmentarza.

– Tam nie ma żadnego domu. Jest tylko skład węgla – burknęła, nie wiedząc czemu nagle zagniewana, mimo wcześniejszych uśmiechów.

– Na drugim rogu, naprzeciwno.

– Tam nie ma żadnego domu – powtórzyła. – Proszę mi nie zwracać głowy.

Z ciekawości z premedytacją już pytali inne napotkane osoby. Każda z nich zachowywała się podobnie – początkową otwartość zastępowała albo obojętność, albo niechęć.

– To jakaś dziwna blokada – ocenił Marcin. – Oni wszyscy podświadomie nie chcą wiedzieć o tym domu.

– Do tego stopnia – potwierdziła Hania – że czują się wyraźnie źle, kiedy zmuszamy ich choćby do myśli o „nieistniejącym” domu.

– To taka samoobrona domu. „Chce” być niedostrzegalny. Ciekawe.

Na niewielkim dworcu autobusowym musieli poczekać prawie godzinę, choć i tak mieli szczęście, bo pasujący im kurs był ostatnim w tym dniu.

Do Warszawy dojechali późną nocą czy raczej wczesnym porankiem. Taksówką przyjechali do swojego domu, jednego z wielu wciśniętych w małą uliczkę Anina. Powitały ich powiędnięte kwiaty, ocalały jedynie dwa kaktusy.

Agatka z radością odkrywała zapomniane podczas wyjazdu zabawki. Marcin odkrył w komputerze 123 otrzymane e-maile, Hania jeszcze więcej.

Następnego dnia rano Agatce zapewniona została opieka siedemnastoletniej Ali, która była już wcześniej wynajmowana do tego celu, a rodzice ruszyli pozałatwiać swoje sprawy zawodowe.

Hania telefonicznie ustaliła z sekretarką prezesa godzinę, o której będzie mógł ją przyjąć. Ponieważ miała jeszcze trochę czasu, odwiedziła kolegów w pokoju redakcyjnym. Tam, pośród licznych stolików z komputerami, ekranami, faksami i drukarkami kłębili się w mniejszych i większych grupkach ludzie szykujący kolejne wydania różnych programów. Hania lubiła panującą tu atmosferę – dynamikę, pośpiech, wrażenie chaosu, poczucie wiszącej nad wszystkim totalnej katastrofy. Przywitała się z paroma osobami, inne zdawały się jej nie dostrzegać. Hania dobrze rozumiała, dlaczego. Wszyscy wiedzieli, że jest przed rozmową z prezesem, ale nie wiedzieli, jakie będzie mieć ona następstwa. Zbytnią zażyłość z osobą, która podpadłaby zarządowi, mogła w ich pojęciu zaszkodzić karierze. Jawnie z góry nie mogli się od niej odciąć, bo narażaliby się, gdyby jednak Hania zachowała dobrą opinię. W rezultacie demonstrowali niezwykle zaaferowanie pracą.

Prezes, ze względu na aparycję i maniery, trafnie zwany Wielorybem, karierę w telewizji zaczynał jeszcze pod rządami PZPR. Już wtedy wykazywał wielką giętkość kręgosłupa i doskonałe wyczuwanie, skąd wieje wiatr. Upadek komunizmu bynajmniej mu nie zaszkodził, równie gorliwie co wcześniej zaczął służyć nowej władzy, pnąc się po szczeblach organizacyjnej i finansowej drabiny. Gdy jego dawni towarzysze przedzierzgnęli się w sprawnych biznesmenów, zapewnili sobie stosowne kredyty i pojawiła się możliwość założenia prywatnej telewizji, od początku był najmocniejszym kandydatem na prezesa. I został nim.

Oczywiście, gdy Hania weszła do jego gabinetu, nie zrobił nawet gestu podnoszenia się z fotela stojącego za wielkim biurkiem. Machnęła tylko niedbale ręką, żeby zajęła miejsce naprzeciwko.

– Pani Hanno – uśmiechnął się w taki sposób, że adresatkę tych słów przeszły ciarki – długo coś pani nie było.

– Owszem, ale z umowy wywiązałam się przed wyjazdem. Miałam nawet wypracowane więcej, niż przewidywał kontrakt...

– Tak, tak – Wieloryb nie był tym zbyt przejęty ani nawet zainteresowany. – Musimy jednak porozmawiać o pani programach.



- To znaczy o czym, panie prezesie?
- Pani Hanno, w swoich programach zajmuje pani dotychczas bardzo zachowawcze pozycje. Żadnych kwestii dotyczących najważniejszych spraw, którymi żyje kraj...
- Ależ panie prezesie – była tak zdumiona, że przerwała prezesowi – przecież robiłam materiały o hospicjach, o przemyśle w szkołach, o ludziach starszych porzuconych przez rodziny, o...
- Dobrze, dobrze. Pora jednak na otwarcie, na pokazanie, że nieobce są pani wartości europejskie, że nie przemawia pani z pozycji zaścianka, w interesie ciemnego grodu.
- Co konkretnie mi pan proponuje?
- No, niech pani zrobi jakiś ostry, dobry materiał o problemie pedofilii w Kościele, o przemyśle w toksycznych małżeństwach katolickich. O – ucieszył się własną pomysłowością – można to skonstruować, pokazując przykładową rodzinę homoseksualną. Można zrobić materiał o terrorze stosowanym przez tych fanatyków walczących z planowaniem rodziny.
- Mówi pan o aborcji? Ale nigdy o takim terrorze nie słyszałam.
- No właśnie, pani Hanno, musi pani pokazać, że nie chce przemawiać z pozycji wrogich, jątrzyć, sypać piach w koła postępu.
- Panie prezesie, nie chcę sypać żadnego piachu, ale chcę robić nadal dobre programy o ważnych sprawach. Propagandowych agitek nie będę robiła.
- No nie. Ja przecież pani do tego nie namawiam. Ale może – udał, że właśnie na to wpadł – umówimy się na wieczór, żeby to omówić. Taka kolacja u mnie... – urwał, po czym znacznie ciszej dodał: ...w połączeniu ze śniadaniem.
- Ty durna świnię – wykrzyczała Hania, gwałtownie podnosząc się z fotela – myślisz, że pójdziesz z tobą do łóżka, bo tak mi zależy na pracy?!
- Drzwi za jej plecami otworzyły się i do gabinetu wpadła zaniepokojona sekretarka.
- Wolałabym zebrać na ulicy niż przespać się z tobą! – tego słuchała już sekretarka, zażenowana, tym bardziej że sama z podobnej próby wyszła na tarczy.
- Czerwona na twarzy, głośno oddychając, Hania gwałtownie rzuciła się do drzwi. Mało nie wpadła na zamarłą sekretarkę. Zatrzasnęła za sobą drzwi.

Do domu wróciła taksówką. Chciała jak najszybciej opowiedzieć o wszystkim Marcinowi, ale wolała nie robić tego przez telefon. Kiedy weszła do mieszkania, zastała Agatkę samotnie oglądającą telewizję.

– Cześć, dziecino! Gdzie jest Ala?

– A przyszedł jakiś pan i poszli gdzieś na górę. Mają tajemniczą sprawę do omówienia i miałam im nie przeszkadzać.

– Tajemnicza sprawa! – mruknęła do siebie. – Znam takie tajemnice.

Nie robiąc hałasu weszła na piętro i uchyliła drzwi sypialni. Oczywiście tajemnicza sprawa przybrała kształt zgodny z przewidywaniami. Rozebrana Ala zajmowała łóżko, przed którym, stojąc tyłem do drzwi ściągał spodnie jakiś nieznaną młody mężczyzna.

– Podać może państwu coś do picia? – Hania mówiła spokojnym głosem.

– Tak, poproszę – nie wiadomo, czy facet odpowiedział machinalnie, czy była to bezczelna drwina.

– Ja ci zaraz dam! Ubieraj się natychmiast.

Przestraszona Ala ubierać się zaczęła już wcześniej, zbierając z podłogi porozrzucane ubrania. Jej wybranek zaś, zdeorientowany, odwrócił się z głupią miną

– Skoro potraktowaliście mój dom jako hotel – mówiła Hania – to proszę zapłacić. Opłata wynosi 200 złotych.

– Ty, głupia... – młodzian przeszedł do ofensywy.

– Lepiej się nie odzywaj, tylko wyciągaj pieniądze.

Mężczyzna stanął pewniej na rozstawionych nogach i od niechcenia uderzył prawą pięścią w lewą otwartą dłoń.

– Nie radzę – Hania nadal mówiła spokojnie. – Stłukę cię, będziesz poobijany, a i tak zapłacisz. Czy później Ala ci odda pieniądze, czy nie, nie obchodzi mnie. Przeszedłeś nieproszony do cudzego domu. Robię ci przysługę, nie wzywając policji. Oboje wylądowalibyście w areszcie co najmniej na 24 godziny. I bylibyście już zarejestrowani jako osoby podejrzane. To jak, płacisz czy mam ci wcześniej przyłożyć?

– Ty, głupia... – powtórzył młodzieniec i rzucił się z pięściami na Hanię.

Uchyliła się, po czym, gdy z impetem parł do przodu, pchnęła go w tym samym kierunku. Przyspieszyła tym samym jego ruch,



a wyciągając do przodu nogę, uniemożliwiła mu złapanie równowagi. Facet wpadł na ścianę, po czym zwałił się na ziemię.

Leżąc, podniósł ręce w geście poddania.

– Czyli płacisz? – upewniła się.

– Tak, proszę pani.

– No, maniery ci się poprawiły. Co robi chwila nauki!

Hania schowała dwieście złotych do kieszeni, po czym stwierdziła:
– Koniec doby hotelowej. Żegnamy państwa.

Nie patrząc na siebie, para szybko zeszła na dół i opuściła dom.

Zjadły z Agatką obiad, po czym Hania przy kawie poczytała sobie gazety. Miała spore zaległości.

Marcin nie przyniósł zachęcających wieści. Nie było, przynajmniej na razie, dla niego pracy.

– No, to ja przynajmniej zarobiłam 200 zł jako burdelmama – zaśmiała się Hania. – Ktoś musi utrzymać rodzinę – opowiedziała mu o „gościach hotelowych”.

Jednak opowieść o spotkaniu z Wielorybem pozbawiła Marcina humoru. – A to skurwiel – powiedział cicho, mimo wszystko miarkując się ze względu na Agatkę, która bawiła się w sąsiednim pokoju.

Rozważali możliwości znalezienia pracy dla obojga. Z zatrudnieniem Hani było gorzej – co prawda jej umowa wygasła ze dwa miesiące wcześniej, ale podpisując ją zobowiązała się do niezatrudniania się u konkurencji przez kolejne pół roku.

Następnego dnia Hania została w domu z Agatką. Robiły porządki Marcin zaś ponownie wyruszył do miasta.

Ścierając kuchenny stół, Hania spojrzała przez okno. Uśmiechnęła się. Na trawniku przed ich domkiem zatrzymała się akurat ubrana w kraciatą kurtkę dziewczyna trzynasto-, piętnastoletnia z malutkim psem. Coś mu tłumaczyła, czego on zapewne nie pojmował. Nagle, najwyraźniej zdenerwowana na niego, dziewczyna zamachnęła się tryzmany w ręce kijem i uderzyła szczeniaczka.

Hania rzuciła się do drzwi. Wyskoczyła na trawnik, wyrwała dziewczynie kij, po czym uderzyła nim dziewczynę po łydkach.

– Przyjemnie ci?! Jak można tak traktować zwierzątko!

– Co ci do tego, stara kurwo – dziewczątka zabrało głos, rozcierając pręgę na nogach. – To nie twój pies.



– Wiesz co, to już jest mój pies. Ty straciłaś do niego prawo. Zabieram go.

Hania wzięła na ręce i przytuliła do siebie skomlącego szczeniaczka, puszystego i wzruszająco bezbronnego. Poszła do domu.

– Jeszcze zobaczysz, złodziejko! – słyszała, jak dziewczyna odgraża się w kierunku jej pleców.

Agatka zachwyciła się nowym domownikiem. Sama robiła pie-skowi okłady, żeby pręga widoczna na miękkiej skórze jak najszybciej zesza. Oddała mu na posłanie własny jasiek. Piesek oczywiście znaczył nowe miejsce, pozostawiając wszędzie małe rozlewiska – „przeciekał”, jak orzekła Agatka, która po nim ścierała. Marcin nie wyraził entuzjazmu, ale gdy wysłuchał całej historii, pogodził się z nieuniknionym.

W nocy Marcina i Hanię obudził jakiś nieokreślony hałas. Marcin zszedł cicho na dół w spodniach od piżamy i na bosaka. Sprawdzał kolejne pomieszczenia. W kuchni zdjął z haka jedną z wiszących tam patelní. Oręż taki sobie, ale lepszy niż gołe ręce...

Gdy wszedł do pokoju z szerokimi drzwiami na taras i ogród, przez szybę zobaczył kilka postaci skradających się przez trawnik. Szybko wszedł do pokoju i przypadł do ściany sąsiadującej z drzwiami. Nieznacznie wychylił się, wypatrując zagrożenia. Policzył napastników: cztery osoby. Z zaniepokojeniem zauważył w ich rękach grube pałki i chyba – nie był pewien – butelki. Jeden z przybyszy podszedł do drzwi, odszukał zamek i zaczął przy nim manipulować. Nic to nie dało. Naradził się z drugim, po czym zdjął z głowy czapkę i osłaniając nią dłoń, uderzył w szybę. Szyba wytrzymała, wziął więc większy zamach i powtórzył uderzenie. Posypało się szkło. Marcin usłyszał, czy może wyczuł, że z góry schodzi Hania, ale nie było już czasu na ostrzeżenia. Napastnicy poszerzyli otwór i zaczęli wchodzić do pokoju. Ciągłe jeszcze nie zdawali sobie sprawy z obecności Marcina. On zaś odczekał do wejścia drugiego z zamaskowanych przybyszy, po czym z zamachem walnął patelnią w głowę bliższego, który osunął się na ziemię, wypuszczając z ręki pałkę. Stało się to tak nagle, że jego towarzysz, zanim się zorientował w sytuacji, otrzymał taki sam cios i dołączył do leżącego. Marcin szybko odsunął obu ku środkowi pokoju. Pozostała zamaskowana dwójka jeszcze ze sobą rozmawiała ze trzy metry



od dziury w drzwiach. Najwyraźniej jeszcze nie wiedzieli, co spotkało ich kolegów.

– Marcin... – usłyszał dobiegający z tyłu szept.

– Ciii... Dzwon na policję. To napad – wyszeptał.

Chwilę później kolejny napastnik, schylony i na podkurczonych nogach, podszedł do dziury i wszedł do pokoju. Dołączył wkrótce do leżącej dwójki.

Ostatni z przybyszy odczekał chwilę, po czym podszedł do otworu, jakby z wahaniem.

– Dżony, gdzie jesteś – zawołał szeptem. – Dżony! To ja, Kristin – zatem była to dziewczyna.

Marcin i tym razem poczekał na jej wejście, po czym złapał ją od tyłu, wykręcając ręce. Szarpała się i usiłowała kopać, ale nic nie wskórała.

– Haniu! – zawołał Marcin – włączaj wszystkie światła. – Obejrzymy gagatków.

Hania zapaliła światła w pokoju i na tarasie. Zniszczenia w sumie nie były wielkie, ucierpiała jedynie szyba w drzwiach. Po środku pokoju leżały trzy osoby, czwarta szarpała się i przeklinała, trzymana przez Marcina.

Na stole leżała patelnia. – Kucharz to jednak bardzo niebezpieczna profesja – orzekła Hania.

– Przynies jakiś sznur, trzeba ich unieruchomić do przyjazdu policji.

Przyniesionym z kuchni przez Hanię sznurem związali najpierw wyrrywającą się dziewczynę, a potem leżących. Ci powoli odzyskiwali przytomność. Zostali „zmagazynowani” w rogu pokoju.

Hania już chciała iść po miotłę, żeby posprzątać szkło, ale Marcin przypomniał, że to miejsce przestępstwa i trzeba je zachować dla śledczych.

– Znam tę panienkę – stwierdziła Hania, obejrzawszy skrzepowaną dziewczynę. – To ta psia treserka, o której ci mówiłam. Sprowadziła koleżków, żeby nas pobić i podpalić.

Rzeczywiście wśród łupów były nie tylko bejsbolówki, ale także butelki i jakieś szmaty.

– Pójdę do garażu, sprawdzić, czy to przypadkiem nie benzyna z samochodu taty – zdecydował Marcin. Stał tam bowiem prawie nieużywany stary, kanciasty fiat, otrzymany w spadku po jego ojcu.

Po chwili wrócił. Garaż był nienaruszony.

Policja przyjechała po godzinie. Zaczęło się typowe zamieszanie. Zbieranie i zadeptywanie śladów, fotografie, pierwsze zeznania. Napastnikom wymieniono sznurki na kajdanki. Gdy ich wyprowadzano, trzech koledzy „Kristin” z guzami na głowach byli cisi i pokorni. Ona sama natomiast awanturowała się, przeklinała policjantów, groziła, że wszyscy stracą pracę, choć ubierała to w słowa mało ogłędne. Na resztę nocy pojechali do aresztu.

Agatka spokojnie przespała nocne sensacje i nawet miała pretensje do rodziców, że jej nie obudzili. Zapewnili ją, że przy następnym napadzie na pewno ją obudzą.

Po południu składali zeznania na policji. Byli w komplecie, z Agatką i szczeniakiem, którego zdążyli nazwać Tygrysem, trochę na wyrost, bo sierść w paski miał tylko z jednego boku.

Zamówiony szklarz wymienił stłuczone szyby. Wszystko wróciło niby do normy, ale rodzina zwracała teraz uwagę na otoczenie, wypatrując możliwego zagrożenia. Ich dom przestał być bezpieczną twierdzą.

Przez dwa kolejne dni nie wydarzyło się nic szczególnego. Trzeciego dnia Hania zwróciła uwagę na chłopca może rok, dwa lata starszego od Agatki, który jakoś niezdecydowanie kręcił się po ich ulicy. To chodził, to przysiadł na trawniku i miał bardzo smutną buzię. Był ubrany w jakieś brudne, obszarpane spodnie i szary od brudu, niegdys białe podkoszulek. Gdy tak siedział, podeszła do niego i spytała, czy chce coś zjeść. Trochę przestraszony, cicho potwierdził. Zaprosiła go do domu. W kuchni posadziła go przy stole, zrobiła mu kakao i dała parę kanapek, które zniknęły w błyskawicznym tempie.

– Chcesz jeszcze? – spytała właściwie retorycznie, bo już kroili następne kromki. Chłopiec pokiwał energicznie głową. – Dobra, zaraz dostaniesz, ale może chcesz siusiu? Chodź, pokażę ci, gdzie. A przy okazji możesz umyć ręce. Od tego powinniśmy zacząć, ale byłeś chyba bardzo głodny.

Chłopiec potulnie poszedł do łazienki.



Szybko wyszedł i nieśmiało powiedział: – Nie umiem tego kranu przekręcić.

– A, bo go się podnosi – podeszła i pokazała. – A potem opuszcza się w dół. Widzisz? A tu masz ręcznik.

Tym razem był w łazience dłużej. Wrócił z czystymi rękami i przylizanymi włosami, które były może trochę za długie, ale go nie szpeciły.

Tym razem jadł wolniej, popijając kakao, które Hania mu dorobiła.

– Jak się nazywasz? – zapytała, siadając po drugiej stronie stołu.

– Piotr Chojnacki.

– Powiesz mi, co ci się stało?

– Tatuś... Czekałem w domu i nie było co jeść – mówił trochę chaotycznie. – Ale on wrócił znowu pijany i chciał mnie bić. Ale mu się wyrwałem i uciekłem. Ale nie wiedziałem, gdzie iść, i byłem głodny.

– A gdzie jest mamusia?

– Umarła już dawno temu, jak byłem mały.

– Piotrusiu – ciepło odezwała się Hania – chcesz u nas pomieszkać?

Popatrzył na nią z nadzieją, ale nic nie powiedział.

– Mam córeczkę trochę młodszą od ciebie. To dziewczyna, wiem, ale na pewno się polubicie.

Kiwnął głową.

– No to w porządku. To teraz ja będę twoją ciocią.

Zawołała Agatkę i powiedziała, że Piotruś będzie razem z nimi mieszkał. Dziewczynka obrzuciła wzrokiem jego brudne ubranie, co Hania właściwie odczytała, ale zaraz potem spytała, czy chce zobaczyć jej pieska. Razem poszli do pokoju. Hania natomiast rzuciła się do szafy szukać wśród ubrań Agatki czegoś nadającego się dla większego od niej chłopca.

Marcin bez wahania zaakceptował decyzję Hani. Wieczorem za całą czwórka zasiadła do rozegrania wielkiej partii domino. Hania ze wzruszeniem odkrywała, że Piotruś, zapamiętując się w grze, potrafi głośno i zaraźliwie się śmiać. Była tym zachwycona.

W tydzień po napaści na ich dom telefonicznie wezwano ich do prokuratora. Był problem, co zrobić z dziećmi w czasie przesłuchania. Postanowili zabrać je ze sobą, oczywiście Tygrysa również.

Prokurator, chudy facet w okularach i z tłustymi włosami, od pierwszej chwili wydał im się antypatyczny i arogancki.



– Po co to całe przedszkole? – powitał Jaroszyńskich. – Wzywałem tylko was. A tu jeszcze pies! To przecież urząd państwowy, a nie zoo.

– Dzień dobry, panie prokuratorze – Hania była przesadnie uprzejma. – A co według pana mieliśmy zrobić z dziećmi? Urząd państwowy jakoś zniesie obecność Agatki, Piotrusia i Tygrysa.

– Dobrze – powiedział, choć z wyrazu twarzy widać było, że wcale nie uważa, że jest dobrze. – Niech siądą tam w kącie i nie przeszkadzają.

Hania zaprowadziła dzieci we wskazane miejsce i coś do nich szeptem powiedziała.

– Wezwałem państwa w dwóch sprawach – odezwał się prokurator, gdy zajęli wskazane im krzesła naprzeciw biurka, za którym sam siedział.

– Rozumiem – odezwał się Marcin – że jedna sprawa to napaść tych młodocianych bandytów na nasz dom. A jaka jest druga sprawa?

– Drogi panie – głos prokuratora był oziębły – radzę miarkować słowa. Zaraz mogę pana oskarżyć o zniesławienie pokrzywdzonych.

– Pokrzywdzonych! Bandyci przychodzą nocą spalić nam dom i to są pokrzywdzeni?! – Marcin ledwo panował nad głosem.

– To jest tylko pana wersja i zaraz do tego wrócimy. I proszę mówić spokojnie. To jest urząd, a nie karczma, żeby na mnie pokrzykiwać.

– To niech pan, drogi panie prokuratorze, zachowuje się jak urzędnik – nie wytrzymała Hania. – Jaka to druga sprawa, w której nas pan zaprosił? Mówię „zaprosił”, bo żadnego formalnego wezwania, na piśmie nie otrzymaliśmy.

– Proszę bez takich dygresji! – obruszył się prokurator. – Druga sprawa dotyczy pani właśnie. Pani chuliżańskiej napaści na młodocianą Krystynę Rafalską, córkę znamienitych obywateli naszej społeczności.

– Co takiego! – Hania ze zdumieniem patrzyła na prokuratora. – Dzieciak znęca się nad zwierzątkiem, ja to przerywam, i to ja jestem oskarżana o napaść. To zdumiewające!

– A potem jeszcze – dodał Marcin – ta sama go..., ta sama dziewczyna namawia kolegów i przychodzą do nas z pałkami bejsbolowymi... Nas się oskarża, a nie ich! To jakieś horrendum. Na naszym miejscu pan nie broniłby rodziny?

– Proszę siebie do mnie nie porównywać. Ja jestem prokuratorem, a wy jesteście podejrzani. To jest wasza wersja. Oni mówią co inne-



go i jest to wszystko spójne. Ich jest czworo, a was dwoje. Mogliście uzgodnić zeznania... A oni wszyscy są niekarani i pochodzą z bardzo dobrych rodzin.

– Aha, zatem demokratycznie, dlatego, że jest ich więcej, ustalamy, że oni mówią prawdę.

– Niech mi pan tu nie ironizuje. Napadliście na młodych ludzi, pobili i wciągnęli do mieszkania.

– Tak, uzbrowieni w patelnię, zerwaliśmy się w nocy i napadliśmy na ulicy cztery zamaskowane niewiniątka, zaopatrzone w kije bejsbolowe i butelki z benzyną – Hania przestała już się złościć, zaczęła się bawić.

– Już mówiłem: bez ironii. Tylko pogarszacie swoją sytuację. A pokrzywdzeni zgodnie potwierdzają, że kije bejsbolowe i butelki z benzyną nie były ich własnością. Zobaczyli je obok siebie, gdy już odzyskali przytomność. Wyraźnie zostały im podrzucone. Oni tego nie twierdzą, ale wskazują na to logika.

– Tak, to bardzo uprzejme z ich strony – przyznał Marcin, śmiejąc się.

– Powtarzam, niech pan nie będzie bezczelny.

– Wie pan co, panie prokuratorze, te nasze pogwarki są absolutnie bez sensu. Chce pan nas oskarżać, to pan oskarżaj. Nie mamy zamiaru brać udziału w tej farsie. Chodź, Haniu – zwrócił się do żony – jedziemy do domu.

– Ale.. No... – prokuratorowi brakowało słów. – Odmowa składania zeznań to okoliczność obciążająca.

– Wsadź se pan wszystkie okoliczności... – Marcin już nie wytrzymał.

– To jest... To jest... – prokurator się zatchnął. – To jest obraza urzędu prokuratorskiego – udało mu się dokończyć.

– Sam pan jesteś największą obrazą tego urzędu – zgrabnie podsumował Marcin.

– Wydaję wam zakaz opuszczania miasta – rozwścieczony prokurator musiał mieć ostatnie słowo. – I pojutrze o godzinie 11 macie się stawić na kolejne przesłuchanie.

Zabrali dzieci i pojechali do domu. Po drodze nie rozmawiali o sprawie, nie chcąc straszyć dzieci. W domu usiedli obok siebie i przez chwilę bezradnie milczeli.



– No to – zaczęła Hania – mamy totalny cyrk. Podsumujmy ostatnie wydarzenia. Po pierwsze, bezkarni gangsterzy chcą nas zabić. Po drugie, olewa nas policja. Po trzecie, strata samochodu...

– Po czwarte – podjął Marcin – nasze cudowne ocalenie... Potem Wieloryb, jego propozycje tematyczne i łóżkowe, no i sprawa twojej pracy.

– Po... szóste, tak? Twoja praca, a właściwie jej brak.

– Wiesz co, jest jeszcze coś, o czym nie wiesz. Ja też nie mam pracy przez Wieloryba.

– Jak to?

– Puścił plotkę, że usiłowałaś dostać pracę przez łóżko, ale on, uczciwy i cnotliwy, z pogardą odrzucił twoje awanse. No i teraz nikt nie chce mu się narażać, zatrudniając mnie. Trzeba nas ukarać.

– A to bydlę!

– To teraz do bilansu chyba napad...

– A nie, wcześniej amory Ali.

– No tak, też nas potraktowała odpowiednio.

– Potem Piotruś, ale tę sprawę traktuję mimo wszystko jako plus – Hania się uśmiechnęła.

– I w końcu ten kretyn, prokurator.

– Ja myślę, że ci wybitni obywatele naszej społeczności po prostu przemówili mu do kieszeni.

– Pewnie tak, bo nikt nie jest aż takim idiotą sam z siebie...

– Nie wygląda to wszystko wesoło. Przed nami perspektywa bezrobocia i więzienia, a na pewno długiego i kosztownego procesu. Co robimy? Najchętniej bym gdzieś uciekła... Tylko wszędzie nas dopadną.

– A może...

– Tak, też o tym pomyślałam.

Rozmawiali jeszcze długo, w końcu postanowili jednak uciec w jedynym miejscu, w którym nikt by ich nie dopadł. Do domu w Jankowie.

Marcin poszedł do garażu, sprawdzić, czy stary fiat jest jeszcze na chodzie. Wprawdzie dbał o niego, konserwując go i odpalając co jakiś czas, ale wyjeżdżał najwyżej przed garaż. Od sprawności tego samochodu wiele zależało.

Hania poszła pakować torbę, ale wcześniej porozmawiała z Piotrusiem.



– Musimy wyjechać na zawsze. Czy chcesz jechać z nami? Już nigdy tu nie wrócimy. Nigdy już nie zobaczyłbyś taty... Chcesz? Zastanów się.

– Chcę! – wykonał ruch, jakby się chciał przytulić, ale bał się jej reakcji. Hania objęła go jednak i ucałowała w czubek głowy.

– Piotrusiu, to od dzisiaj nazywasz się Jaroszyński, tak jak my. Piotr Jaroszyński.

– Piotr Jaroszyński – powtórzy z dumą.

– Jeśli chcesz, możesz do mnie mówić mama, a nie ciocia. Ale to już, jak wolisz.

Wyglądało, że chłopiec pogrzył się w myślach.

Wczesnym wieczorem byli już ponad sto kilometrów od domu. Fiacik sprawował się dobrze. Marcin był zadowolony, że przezornie wyruszył, gdy się już ściemniało, bo gdziekolwiek się pojawiali, budzili zainteresowanie. Prawie nikt już nie jeździł samochodem nie z tej epoki. Ciemność zwiększała ich szanse.

Dzieci były podekscytowane podróżą, coś tam między sobą ciągle szeptały, co jakiś czas beztrzesko się śmiejąc. Jedyne Tygrysa monotonne kołysanie szybko uspiło.

Byli już niedaleko Jankowa, kiedy natknęli się na radiowóz policyjny, który na ich widok uruchomił „koguta” i sygnał dźwiękowy, a gdy się nie zatrzymali – zaczął ich ścigać.

– Znalazł się radiowóz. Teraz są sprawni i gotowi do działania – ironicznie stwierdził Marcin, przyspieszając. Pewnie chodziło o zwykłą kontrolę, ale nie mogli dać się zatrzymać, gdy byli już tak blisko.

Wpadli w ulice Jankowa. Marcin kluczył nimi, ale pogoń wciąż była blisko. Wjechał w uliczkę, gdzie nie tak dawno zostawili poprzedni samochód. Podjechał jeszcze kawałek i zatrzymał się. Szybko wysiedli, wzięli torbę i pospiesznie poszli ku domowi przy ulicy Cmentarnej. Mimo że za plecami słyszeli syrenę, spokojnie już przekroczyli znaną sobie bramę. Wkrótce byli w domu.

Na korytarzu napotkali Hanię jeżdżącą na rowerku, która ucieszyła się na widok Agatki, a jej entuzjizm wzrósł, gdy zobaczyła Tygrysa. Gdy dziewczynki bawiły się z psem, rower wypożyczył Piotruś, choć trochę się wstydził jeździć na trójkołowcu. Wkrótce witali się z państwem Hofmanami, którzy dziwili się jedynie, że wrócili tu zaledwie

po jednym dniu. Wybrali pokoje, pytając dzieci o zdanie, i spokojnie zabrali się za szykowanie kolacji.

Chwilę później Jaroszyńscy przywitani się z Hofmanami, którzy dziwili się jedynie, że rodzina wróciła tu tak szybko, upłynęła zaledwie doba.

W domu rozpoczynał się kolejny dzień.



Exodus

Sąd skazuje obu oskarżonych na najwyższy wymiar kary. – Roztaczający aurę kompetencji, umundurowany sędzia z dystinkcjami majora ogłaszał wyrok beznamiętnym głosem. – Odrażający akt terrorystyczny, którego się dopuścili z niskich pobudek, pozbawiając życia ponad dwieście osób, przemawia za odmówieniem im jakiegokolwiek łaski. Są głęboko zdemoralizowani i nie roszą nadziei na resocjalizację. Egzekucja nastąpi zaraz po zakończeniu rozprawy. Proszę wyprowadzić skazanych i przekazać plutonowi egzekucyjnemu.

Po chwili salwa karabinowa zamknęła sprawę.

* * *

Dworzec lotniczy był zatłoczony, pełen krzątający, wypełniony rodzinami z dziećmi, z psami na smyczach i kotami w klatkach, z torbami i walizkami. Przez wrzawę prowadzonych rozmów co jakiś czas przebijały się z megafonów komunikaty wzywające do bramki posiadaczy biletów o konkretnych numerach. Kierunku lotów nie podawano – wszyscy udawali się w tę samą podróż.

Trwał kolejny tydzień przesiedleń. Komisja ogłosiła, że zbyt duża gęstość zaludnienia powoduje niebywałe zniszczenia środowiska naturalnego (w tym skażenie powietrza) i niezbędne będzie przesiedlenie znacznej części ludności na nowe tereny. Zapowiedziano, że każda przenosząca się rodzina otrzyma w nowym miejscu własny dom i dobrą pracę. Była mowa o dobrym klimacie, pięknych krajobrazach



i nieskażonej przyrodzie. Fotografie i filmy promocyjne ukazywały rzeczywiście urocze okolice i bardzo atrakcyjną architekturę.

Natomiast niezbyt precyzyjnie określano miejsce przeprowadzki, a pytań o konkrety jakoś nie zauważano. Początkowo zapowiadano, że akcja obejmie jedynie ochotników, wkrótce jednak jakoś tak wyszło, że numery na kolejne loty władze przydzielają bez czekania na decyzję zainteresowanych. Wyludniały się całe wsie i miasta. Rodziny z przyznanymi numerami, dowożone samochodami wojskowymi, zgłaszały się na lotnisko, skąd samolotami odlatywały ku swemu nowemu miejscu zamieszkania. Przekonywaniem opornych, bo i tacy się znaleźli – zwłaszcza wśród osób starszych – zajmowało się wojsko, bo ono otrzymało misję przeprowadzenia całego przedsięwzięcia. Na wszelki wypadek w tym czasie zamieszania wprowadzona została również wojskowa jurysdykcja, gwarantująca sprawność i obiektywność wyrokowania. Krążyły plotki, że przesiedleniami objęto nie tylko jeden region, a całą połąć kraju, ale nikt nie zdołał tego potwierdzić, a prasa zdecydowanie temu zaprzeczała.

Rafał mieszkał sam, nie miał rodziny. Szczupły, może nawet nadmiernie, energiczny i rzutki, był, by tak rzec, samotnym miejskim żeglarzem. Pracował dorywczo: raz był kierowcą ważnego prezesa, kiedy indziej dostawcą sieci handlowej, bywał i wykidajłą w podejrzanej spelunie, i statystą w filmie. Stanowił produkt miasta, ale i śrubkę potrzebną do jego funkcjonowania. Kiedy otrzymał swój numer i wyznaczony dzień, nie buntował się, bo nie czuł szczególnego związku ze swoim miastem. Spakował parę drobiazgów w plecak, nie wyczerpując nawet dozwolonego limitu wagowego, i gdy podjechała ciężarówka zbierająca wyjeżdżających, oczekiwał jej na ulicy jako jeden z pierwszych.

Na dworcu znalazł się w tłumie innych pasażerów. Kiedy czekał w długiej kolejce do zarejestrowania biletu, przez niedomknięte drzwi do jakiegoś pomieszczenia służbowego, usłyszał, choć nie zwrócił na to większej uwagi, fragment toczonyj wewnątrz rozmowy.

– ... wyrabia ponad sto procent normy. Lata jak oszalały – głos był wyraźnie zgryźliwy.

– I nie daje innym zarobić.



– Ja bym mimo wszystko tak nie potrafiła. To w końcu żywi ludzie... – tę wypowiedź przerwał odgłos pchniętych lub kopniętych przez kogoś drzwi.

Zapowiadało się długie oczekiwanie. Zapisawszy się na lot, Rafał ustawił się więc przy panoramicznym oknie wychodzącym na płytę i bez przekonania zaczął obserwować ruch na lotnisku. Zauważył, że mniej więcej co godzinę odlatuje kolejna grupa pasażerów. Samoloty wydały mu się identyczne, gdy zaś zaczął się im dokładniej przyglądać, coraz bardziej był przekonany, że wciąż widzi jedną, tę samą maszynę. To go zaintrygowało. Był głodny, więc w barze kupił jakieś kanapki i szybko powrócił do obserwowania odlotów.

Wkrótce zauważył szczegóły, które potwierdzały jego przypuszczenia. Delikatna plama, jakby zaciek, na farbie w pobliżu prawego skrzydła (tylko ta strona była widoczna z sali odlotów), drobne zniekształcenie logo na ogonie, w pobliżu steru pionowego... Te samoloty wyglądały identycznie. Tak, to był zawsze ten sam!

Rafał zaczął spacerować wzdłuż szyby, intensywnie myśląc. Jeśli samolot odlatywał co godzinę, to, po odjęciu czasu na sprzątanie, tankowanie i załadunek, sam lot w obie strony trwać musiał mniej niż czterdzieści minut. Znaczyłoby to, że miejsce docelowe znajduje się w promieniu, z grubsza, 120 kilometrów. Był to zdumiewający wniosek, bo choć co prawda dokładnie nigdy tego miejsca nie podano, to jednak wciąż sugerowano, że znajduje się ono bardzo daleko, a to oznaczałoby przecież loty trwające wiele godzin, a nie kilkadziesiąt minut!

– Co za cholera! – Rafał mruczał do siebie. W promieniu 150 kilometrów obszar był dość jednolicie, gęsto zaludniony, jako kierowca wiedział o tym dobrze. Zatem niemożliwe, by tu akurat znalazło się miejsce dla przesiedleńców. A od północy teren dodatkowo ograniczało morze.

Nie doszedł do żadnej konkluzji, ale był przejęty zagadką.

Doczekał się w końcu dotyczącego go komunikatu i wraz z innymi po płycie lotniska przeszedł ku schodkom przystawionym do samolotu. Zaraz po wejściu do wnętrza zdziwił się, po raz kolejny tego dnia. Była jedna wielka kabina, bez podziału na klasy, a wypełniały ją gęsto ustawione plastikowe krzeselka, a nie typowe lotnicze fotele, które widywał w kilku swoich podróżach lotniczych. I nie było nawet

pasów! Krzeselka miały zapewne zwiększyć ładowność samolotu, ale co z pasami?

Spytał o to wprowadzającego ich na pokład stewarda w mundurze kaprała.

– Och, proszę pana – roześmiał się ten. – To nowa generacja samolotów. I start, i lądowanie odbywają się tak łagodnie, że pasy są niepotrzebne.

Uwagę Rafała przykuły też cztery błyszczące rury z przodu i z tyłu kabiny. Górą umocowane były do ścian, dołem do podłogi. Biegły pod pewnym kątem, zatem trochę zagradzały drogę i zabierały miejsce. Zapytany o nie, ten sam steward wyjaśnił, że ponieważ zabierana jest większa niż zwykle liczba pasażerów, konieczne były dodatkowe wzmocnienia.

Gdy wszyscy jako tako rozsiedli się i rozmieścili bagaże, stewardzi opuścili pokład, życząc miłej podróży. I to wydało się Rafałowi dziwne.

Samolot zahuczał silnikami i po krótkim kołowaniu szybko wystartował. Przez owalne okienko Rafał obserwował... nie, nie oddalającą się ziemię, a słońce. Wkrótce był pewien: lecą na północ, w kierunku morza.

Myślał intensywnie, myślał i doszedł do przerażającego wniosku.

– Oni chcą nas wszystkich zabić! – krzyknął.

– Coś pan, zwariował? – pięćdziesięciolatek siedzący na krzeselku obok wyraził opinię wielu osób. – Nie strasz pan dzieci...

Rafał wstał i przeszedł na mały podest z przodu kabiny, tuż przed błyszczącymi rurami. Chaotycznie, niezbyt składnie, bo nerwowo, opisał swoje obserwacje z lotniska, przytoczył podsłuchany fragment rozmowy, bo bardzo pasował mu teraz do całości.

Większość była zdegustowana i niemal obrażona na człowieka, który psuje im przyjemność lotu.

– Jak nas zabiją? – odezwał się ktoś. – Przecież nie rozbiją samolotu. Sam pan mówi, że on wraca.

– Muszą nas z niego wyrzucić. Lecimy nad morze. Tam to robią.

– Ale jak? Przecież nie ma tu nikogo z obsługi, a do kabiny pilotów nie ma stąd wejścia...

Rafał zawahał się, rozejrzał po kabinie, jakby szukając natchnienia i... je znalazł. – Spójrzcie na te rury...



– Wzmocnienia – odpowiedział ktoś, kto słyszał wyjaśnienie stewarda.

– A guzik. To nie żadne wzmocnienia! To są hydrauliczne siłowniki. Przyjrzyjcie się im. I popatrzcie na podłogę pośrodku przejścia. Widzicie taką wąską szczelinę? Wiecie, co się stanie, jak te rury się wydłużą?

– Podłoga w dwóch częściach rozchyli się na boki – powiedział spokojnie łysawy mężczyzna z siwą, krótką brodą.

– Co pan gadasz za bzdury. Kto pan jest? Jakiś drugi wariat!

– Jestem inżynierem i akurat znam się na maszynach. To rzeczywiście są siłowniki hydrauliczne.

Rozpętała się awantura. Jedni wrzeszczeli na Rafała, nie przyjmując żadnych argumentów, inni zaczęli rozpaczać, niektórzy modlili się.

Inżynier przepchnął się przez rozkrzyczany tłumek ku Rafałowi.

– Kończy się nasz czas, zaraz będziemy nad pełnym morzem. Ma pan jakiś pomysł, jak zablokować te cholerne siłowniki? – Rafał czepiał się wiary w fachowość inżyniera.

Ten obejrzał je, po czym pokręcił głową – Gdyby udało się jakoś spaść je parami... Ale to musiałby być jakiś bardzo mocny łańcuch albo coś podobnego. Niczego takiego nie mamy.

– Ale tutaj, na tym podeście, jesteśmy bezpieczni?

– Tak, można uratować tych, którzy na to wejdą, choć tu bardzo mało miejsca. Chodźcie tutaj! – machał do innych, usiłując przekrzyć hałas.

Ci, którzy go usłyszeli, zareagowali, wymownie stukając się w czoło.

Dwójka na podeście siadła na podłodze, wspierając się o ścianę. Za plecami mieli niedostępną kabinę pilotów, przed sobą rozkrzyczany tłum. Popadli w spokojny fatalizm. Nie mieli na nic wpływu, mogli jedynie obserwować przebieg tragedii, którą przepowiedzieli.

– Dlaczego oni nas mordują? – przerwał milczenie Rafał.

– Pewnie komuś potrzebna nasza ziemia. Innego powodu nie widzę.

– I co, myśli pan, że nas się pozbędą, a sprowadzą innych? Kogo? Komu to się w ogóle opłaca?

– Słyszałem pogłoski o jakichś obcojęzycznych grupach, które wchodziły na wyludnione tereny. Ale władze podawały u nas, że to tylko brygady porządkowe. Myślę, że po prostu sprzedano nasze ziemie, ale bez nas.

Pojawił się jednostajny szum, początkowo niezauważony przez pasażerów. Zaraz jednak wszyscy zamarli, bo w podłodze pojawiła się rosnąca szpara na całą długość kabiny. Obie połowy podłogi, wraz z przymocowanymi krzesłkami coraz szybciej rozsuwały się do pozycji pionowej. Rozległy się krzyki.

– O Boże! Na pomoc! – kolejni ludzie wpadali w przepaść, ku odległej powierzchni wody. Niektórzy usiłowali przytrzymać się oparc, ale śliski plastik szybko wymykał się z rąk. Szans na ratunek pozbawiał też gwałtowny wiatr: samolot przecież tylko nieznacznie zmniejszył szybkość.

Jakiś chłopczyk mimo wszystko kurczowo trzymał się krzeselka, usiłując wspiąć się w górę. Dwójka na podeście, obserwująca dotychczas ze zgrozą wydarzenia, rzuciła się mu na pomoc. Gdy już się wydawało, że da radę złapać dziecko za przeguby, silny podmuch porwał je w przepaść.

Pozostali sami. Podłoga stopniowo wróciła do poziomu. Po pasażerach nie było śladu.

– Myśli pan, że wiedzą, że przeżyliśmy?

– Oczywiście – inżynier wskazał niewielkie kostki w rogach kabiny – mają kamery.

– Rozprawią się z nami?

– Tak, ale dopiero na ziemi. Na pewno już kompletują komitet powitalny...

– Jak oni mogą to wszystko robić! Przecież to niehumanitarne. To zbrodnia.

– Widzi pan, każdy, dowolnie okrutny czyn wystarczy obudować eufemizmami. I staje się on nagle do zaakceptowania przez bardzo wielu ludzi. Zabijanie niewygodnych staruszków nazwijmy eutanazją, gestem miłosierdzia i stajemy się nie tylko usprawiedliwieni, ale wręcz wielkoduszni. Niemowlęta albo dzieci przed porodem można zabijać i szczyć się tym, gdy nazwiemy to realizacją praw kobiet albo troską o jakość życia samych zabijanych. Teraz pewnie wymyślą jakiś absurd ekologiczny albo konieczność poszerzenia przestrzeni życiowej dla ludzi odpowiednio cywilizowanych. My się zapewne do nich nie zaliczamy.

– Miałem trochę lepsze wyobrażenie o tym świecie – z Rafałem całkiem zeszło powietrze.



Do końca niedługiej podróży niewiele już rozmawiali. W milczeniu przygotowywali się na nieuchronne.

Samolot wylądował daleko od dworca. Do drzwiczek podtoczyły się schodki, weszło po nich sześciu żołnierzy z pistoletami w rękach. Dwóch pasażerów skutych z tyłu zeszło na płytę i zaprowadzonych zostało do pomieszczenia sądu doraźnego.

Proces odbył się natychmiast. Obu zarzucono celowe spowodowanie katastrofy lotniczej, w wyniku której zginęło ponad dwieście osób. Oskarżeni odmówili składania jakichkolwiek zeznań. Znużony obrońca z urzędu wygłosił bez przekonania prośbę o łagodny wymiar kary.

Po egzekucji sędzieja polecił zapakować zwłoki do skrzyni i wyeksponować ją z kolejną grupą odlatujących.

Dobiegający z daleka huk wystrzałów nie wzbudził uwagi oczekujących pasażerów, jedynie jakaś nudząca się dziewczynka zapytała ojca:

– Tatusiu, dlaczego tam strzelają?

– Pewnie płoszą ptaki.

– Czemu?

– Bo ptaki bardzo zagrażają samolotom. Jak zderzą się z samolotem albo wpadną do silnika, to może być katastrofa. Na lotnisku strzelają, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo.

– Aha – dziewczynka zajęła się lalką.

Instrukcje obsługi Świata



Szatański trik

Janowi wiodło się zawsze znakomicie: zdobył majątek, piękny dom, miłą żonę. Wakacje spędzał w nader egzotycznych miejscach i po prostu cieszył się życiem. Wypadek zdarzył mu się, kiedy właśnie rozkoszował się żeglując jachtem po morzach południowych. Nagle zasłabł, zakłuło go serce, przed oczami miał ciemność, po czym... Wszystko się uspokoiło, znalazł się w jakiejś nieokreślonej jasnej przestrzeni. Stał naprzeciw wielkiej uchylonej bramy, przed którą kłębił się tłum na biało ubranych ludzi. Wyróżniał się wśród nich brodaty dostojny starzec.

Gdy zbliżył się nieco, zdziwiony, ale przyjmując wydarzenia w sposób naturalny, tłum zaczął śpiewać jakąś podniosłą pieśń. Wykonywał ją jednak niezbyt równo, a niektóre osoby wręcz fałszowały. Gdy Jan podszedł bliżej, stwierdził, że i biel szat jest nie najwyższej jakości. „Tandeta” – pomyślał bezwiednie. Zaraz potem otoczyli go najbliżsi śpiewacy, z widoczną radością poklepując go po plecach. Ku uldze przybysza śpiew się skończył. Wystąpił starzec, którego oddech Jan delikatnie zakwalifikował jako nieświeży.

– Witamy drogiego zmarłego – powiedział uprzejmie.

Jan obejrzał się, ale słowa były skierowane wyraźnie do niego. – To ja... nie...

– Tak, nie żyjesz.

– Ale... To to jest Niebo? Każdego zmarłego tak witacie?

– Nie, zwykłych wita po parę osób.

– A ja jestem niezwykły?



– Stumilionowy w tym roku. No to, wypełnijmy formalności i będziemy mogli wejść do Nieba. Imię i nazwisko?

– Jan Nowacki.

Starzec coś sprawdzał w zwoju papieru, który wyjął spod szat. Skrzywił się z niesmakiem.

– Ten bogacz? – upewnił się.

– Tttak – niepewnie potwierdził Jan.

– No to mamy kłopot. Prędeż wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż bogacz wejdzie do Królestwa Niebieskiego, jak powiada Pismo.

– Ale ja nic złego nie zrobiłem!

– Nie możemy cię wpuścić. Ale... Jako stumilionowy zmarły uzyskasz jeszcze jedną szansę.

W tym momencie wszystko znikło, przez chwilę trwała ciemność, po czym Jan ze zdumieniem odkrył, że znowu leży na pokładzie jachtu, a nad nim pochyła się przejęta żona.

– Co ci jest? – usłyszał.

– W porządku – Jan podniósł się. – To jakieś chwilowe zamroczenie – wybąkał. Wkrótce Jan wrócił do kraju. Jego najbliżsi zdumieni byli zmianą, jaka nagle w nim zaszła. Zaniedbał firmę, wkrótce zaczęły się zwolnienia. On sam natomiast zaczął szastać pieniędzmi – to władował walizkę pieniędzy w totolotka, to wydał fortunę na hulanki, to z banknotów zrobił confetti...

Do pracy już nie chodził. Pogrążył się w jakimś stuporze. Nie odpowiadał na uwagi żony, zaczął pić i otaczać się kręgiem darmozjadów. Zmarniał bardzo szybko, zawsze pracowity i zadbany, nie był przyzwyczajony do takiego trybu życia.

W kilka miesięcy Jan przepuścił dorobek całego życia, stracił żonę, dom, starych przyjaciół, a nowi odeszli, gdy skończyły się pieniądze. Przez jakiś czas spał pod mostami, później zwiedził wszystkie okoliczne przytułki. W końcu któregoś zimowego poranka wycieńczony Jan zmarł pod jakimś płotem.

Znowu przeszedł przez ciemność, ale gdy spodziewał się otrzymać nagrodę przy znanej sobie bramie, wylądował na jakimś chwiejnym krzeselku w ciasnym pokoiku o szarych ścianach. Za zniszczonym biurkiem siedział brodaty starzec, ale Jan go nie rozpoznał. To był ktoś inny niż poprzednio.



– Witaj – powiedział smutnym głosem. – Wiesz już pewnie, że umarłeś.

Jan kiwnął głową.

– Pójdiesz do Raju, ale na pokucie i umartwieniach w Czyścú spędzisz najbliższe trzysta lat. Nagrzeszyłeś sporo w tamtym życiu. A do niedawna tak dobrze się prowadziłeś! Miałeś wszystko i tak dobrze sobie radziłeś. Niebo miałeś pewne. Potem jednak uparłeś się, żeby to zniszczyć. Masz szczęście, że nie uznamy tego za samobójstwo.

– Ale tamten pan mówił, że bogacz... że...

– To był szatan! Wziąłeś go za mnie? Czy mi cuchnie z ust?! – starzec mówił podniesionym głosem. – To ja jestem święty Piotr. Prawdę powiedziawszy, te trzysta lat będziesz płacił za własną głupotę. Za to, że nie odróżniasz ziarna od plew. Bieda nie jest cnotą, a bogactwo grzechem. Powinieneś to wiedzieć. Rzecz polega na użytku, jaki robisz ze swojego życia. Będziesz miał dość czasu, by zastanowić się, o czym mówi nasz Pan, gdy wspomina o wielbłądzie i uchu igielnym. No to idź już. Tamtymi drzwiami i na lewo.

Jan pożegnał grzecznie św. Piotra i ze spuszczoną głową poszedł korytarzykiem o odrapanych lamperkach do kantorka, w którym przez najbliższe stulecia dzień w dzień będzie przepisywał klasyków myśli lewicowej. Brr.

Powstrzymana inwazja

Przestawiciele wrogiej a potężnej cywilizacji kosmicznej weszli na orbitę Ziemi. Wraz z nimi nad planetą zawisło ogromne niebezpieczeństwo. Ziemia miała zostać włączona do wielkiego imperium kosmicznego, musiała jedynie złożyć kapitulację. I musieli tego dokonać przedstawiciele władzy. Przybysze niezwłocznie przesiedli się do niewielkiego lądownika i opuścili na powierzchnię.

Wylądowali w wiosce Janów, tam, gdzie od głównej drogi wiodącej z Grzybowa odchodzi boczna wiejska ulica. Lądownik najbardziej przypominał typowy kontener, może tylko zaopatrzony w różne rury i wichajstry, ale nie wzbudził żadnej sensacji mieszkańców, którzy zresztą jeszcze spali (a gdy się obudzili, też nie zwrócili nań uwagi). Nie przyciągał również spojrzeń kierowców przejeżdżających samochodów, ot, jeszcze jedna budka przy drodze...

Dwaj przybysze, jeden wyraźnie wyższy, drugi zdecydowanie grubszy, około południa wyszli na zewnątrz. Ubrani byli w stroje, które tak wielkie przerażenie wzbudzały na innych podbijanych planetach. Najbardziej przypominały dwurzędowe czarne garnitury.

– No to, kolego, ustalmy, gdzie tu jest władza. Przyjmujemy akt kapitulacji i będziemy mogli odlecieć – wyższy był szefem albo przynajmniej szybciej zbierał myśli.

Na użytek kontaktów z tubylczym ludem wyposażeni byli w Kosztowny i Pochłaniający Olbrzymie Ilości Energii Translator, dzięki któremu mieli zapewniony wierny przekład językowy w obie strony.



– Gdzie jest władza? – wyraźnie i bez obcego akcentu automat zinterpretował świsty i gwizdy, skierowane przez przybyszy do przechodzącej kobiety w chustce i gumowcach.

– Na wieki wieków amen – odpowiedziała i poszła swoją drogą. Nie wiedzieli, że trafili na przygłuchą Matyldę, która udawała, że wszystko doskonale słyszy.

– Jakie wieki? Nie pytaliśmy o czas, tylko o miejsce! Może translator źle działa?

– Spróbujmy z kim innym, o właśnie idzie... Tylko jakoś dziwnie.

Tubylec miał wyraźnie zakłócony zmysł równowagi. Gdy doszło go pytanie „Gdzie jest władza?” omal nie wpadł na pytającego. Wykonał jakiś gest rękami, beknął i uśmiechnął się szeroko. – Władzia? Nie, nie znam. Ale za to Arletka jest... Palce lizać. Chodźcie, poznać ją... – zatoczył się.

– Gdzie jest władza? – powtórzył skonfundowany niższy.

– Co wy z tą Władzią! Nie chcecie, to sam pójde do Arletki. No to pa! – chwiejnie oddalił się w kierunku głównej drogi.

Przybysze stali jak oniemiaли. Może nawet nie „jak”, bo przynajmniej na chwilę mowę im rzeczywiście odebrało.

– Czemu mamy oblizywać mu palce? To jakiś lokalny zwyczaj? Może znak szacunku? Kolega coś z tego rozumie? – wyższy pierwszy zaczął wychodzić z osłupienia.

– A ta arletka to jakaś struktura administracyjna ponad władzą?

– A może nasz Kosztowny i Pochłaniający Olbrzymie Ilości Energii Translator źle przekłada?

Pytań zaczynających się od „A” byłoby więcej, ale uwagę przybyszy odwróciła jakaś zbliżająca się postać z kulą czegoś jasnego na głowie.

– No, może teraz się uda. Ten tubylec ma większą głowę – nutę optymizmu wtrącił niższy.

– Gdzie jest władza? – padło sztandarowe pytanie, ale i tym razem trafiło jak w studnię.

– O, jesteście! I już z kontenerem. Świetnie. To co, od której strony zaczniecie? Bo bez kanalizacji to bardzo kiepskie życie. Szambo trzeba ciągle opróżniać. Chociaż pamiętam, jak tu, we wsi, nie było nawet prądu. Wszyscy siedzieli przy lampach naftowych. Telewizji nie było,



ale ludzie się bawili po chałupach. Kwitło życie towarzyskie. Myśmy z mężem, świętej pamięci już, niestety, też się poznali na takim wieczorku. Ale, panowie! Co to był za mężczyzna...

I potoczyła się płynnie opowieść o przymiotach ducha i ciała nieboszczyka, o jego drodze życia, przebiegu chorób, o tym, kogo brakło na pogrzebie, o dzieciach i zazdrosnych sąsiadach, potem znowu o mężu-nieboszczyku, żeby nieoczekiwanie skrócić na sprawę zaopatrzenia – obecnie i kiedyś, kolejek, jakości towaru, wychowania młodzieży, mody, by w końcu padło zalotne pytanie:

– A jak wam się podoba moja trwała? Wyszłam się u Mariuszowej kilka godzin, ale chyba było warto. – Kobieta pogładziła się po skroniach, od góry delikatnie poklepała kulę na głowie. – No, ale w mnie tu zatrzymujecie, a ja muszę do domu lecieć. No, do widzenia, do widzenia. Miłe z was chłopaki. – I popędziła.

Przybysze uważnie patrzyli, kiedy wzbije się w powietrze, ale się rozczarowali.

– No, kolego, zyskaliśmy tu mnóstwo cennego materiału badawczego...

– Ale nadal nie wiemy, gdzie jest władza... – wysoki sprowadził towarzysza na ziemię.

– To co tu robić?

– Może trafimy na kogoś, kto nam wreszcie powie... O, idą jakieś małe.

Idąca drogą młodzież w wieku wczesnoszkolnym nie dopuściła do zadania kluczowego pytania. Obrzuciła przybyszy jakimiś słowami niezrozumiałymi, nawet przy wysiłkach na pełnej mocy Kosztownego i Pochłaniającego Olbrzymie Ilości Energii Translatora. Padały słowa: „ale obciach”, „jak stróżę w Boże Ciało”, „pedały”, „przydrożne dziadki” i inne. Mimo że niezrozumiałe, to intencja małych tubylców była czytelna.

Starszy z przybyszy zaczął jakby lekko puchnąć.

– Kolego, nie! – Niższy a grubszy usiłował uratować sytuację. – Niech się kolega opanuje. Bo znowu będzie jak na przedostatniej planecie. Kolega się zdenerwował i przeformował, wszyscy się tak wystraszyli, że uciekli, i nie było komu podpisać kapitulacji. Kolego, nie dopuśćmy do katastrofy!



Było już jednak za późno. Stało się. Wyższy zbladł i napeęzniał, trochę przypominał baleron obwiązany sznurkiem, ale najbardziej człowieczka z reklamy Michelin. Ten przeraźliwy widok, który tak wystraszył mieszkańców przedostatniej planety, najwyraźniej jednak nie wywołał paniki wśród mieszkańców tutejszych. Przeciwnie, teraz już cała grupa zaczęła naśmiewać się z tych, przed którymi drżały planety. Tego już nie mógł znieść i niższy. Tak się zdenerwował, że nadał się jak balon, a że był niższy właśnie, bardziej od towarzysza przypominał kulę.

Młodzież powstała, pośmiała się, ktoś usiłował nawet przekłuć balony, „żeby spuścić powietrze”, aż w końcu znudziło się to i towarzystwo rozeszło się do domów.

Forpoczta wrogiej i potężnej cywilizacji wycofała się do lądownika. Na razie Ziemia nieświadomie zremisowała w tej walce o przetrwanie. Przybysze nie zamierzali jednak dać się złamać. W końcu nie od dziś brali udział w podbijaniu kosmosu. Urządzili burzę mózgow całej dwuosobowej ekspedycji. Padały różne propozycje, zwyciężyła jednak ta, by przenieść się pieszo w nieco inne okolice, bardziej przyjazne dialogowi międzyplanetarnemu.

No i poszli. Wzięli ze sobą Kosztowny i Pochłaniający Olbrzymie Ilości Energii Translator, Straszliwy Podręczny Dezintegrator oraz na wszelki wypadek Analizator Chemiczny. Szli przez pola i bezdroża. Nie interesowały ich krajobrazy ani specyfika życia biologicznego. Czuli się już właścicielami całego tego świata i detale ich nie obchodziły.

Drogę zamknęło im w końcu ogrodzenie otaczające jakieś składowisko. Trochę zaskoczeni, zbadali zawartość Analizatorem Chemicznym.

– Noo, panie kolego. To jest odkrycie! Trafiliśmy na tajną skarbnicę Ziemi. Przecież tu jest wszystko: metale lekkie i ciężkie, tworzywa sztuczne, związki organiczne i nieorganiczne.

– Tak, widzi kolega to ogrodzenie. Muszą strzec tego majątku.

W oddali widać było ciężarówkę, które dokładały swoje ładunki do olbrzymiej hałdy i odjeżdżały puste.

– Mam pomysł – jak zwykle pomysł miał wyższy. – Uderzmy w ich najczulszy punkt, pokażmy naszą moc. Zniszczymy im skarbnicę, sami będą prosić o kapitulację. Władza zaraz tu pewnie się pojawi. Nie musimy jej już szukać.



Nastawili Straszliwy Podręczny Dezintegrator i już wkrótce w miejscu, gdzie było wysypisko śmieci, była wielka dziura w ziemi. Zniknęło wszystko: metale lekkie i ciężkie, tworzywa sztuczne, związki organiczne i nieorganiczne.

Dumni z siebie przybysze doszli wzdłuż ogrodzenia do bramy głównej i zasiedli przy niej, by spokojnie oczekiwać na przybycie władzy. Ta się w końcu pojawiła. Pod bramę podjechała kawalkada błyszczących samochodów. Powysiadaly z nich różne godnie się prezentujące postacie. Wyczulony zmysł obserwacji podpowiedział kosmitom, kto tu jest najważniejszy (w ziemskiej terminologii był to akurat wojewoda). Śmiało podeszli doń. Kosztowny i Pochłaniający Olbrzymie Ilości Energii Translator przełożył ich słowa:

– Przylecieliśmy z Kosmosu. Zdezintegrowaliśmy waszą skarbnicę, czy jesteście gotowi do kapitulacji?

Staroświecko wyglądający przybysze nie zwrócili uwagi nikogo, poza młodym człowiekiem (nosił dumne miano specjalisty od PR, rzecznika wojewody). Przez chwilę poszeptał coś do ucha szefowi, który dopiero wtedy obrzucił spojrzeniem intruzów. Dało się słyszeć tylko pojedyncze słowa: „czubki”, „Tworki”, „psychiatryk”...

– To wy zniszczyliście – młody człowiek podszedł bliżej – nasze wys..., naszą... wystawną skarbnicę?

– Tak. Poznaliście naszą moc. Podpiszecie teraz kapitulację? Wiemy o was wszystko. Wiemy, że mieliście lampy naftowe, że kolejkami jeździliście do sklepu, a teraz nie ma kolejek...

– I że sąsiedzi są zazdrośni, a dzieci niewdzięczne na wieki wieków amen. Lizać palce – drugi z kosmitów nie mógł pozostać w tyle w tym popisie wiedzy.

– I wiemy o arletce! – pierwszy z dumą zadał końcowy sztych.

– Hm, wiecie rzeczywiście prawie wszystko, ale tak do końca nas nie przekonaliście. Może gdybyście zniszczyli jeszcze ze trzy skarbnice...

– Nie mamy mapy. Pokażesz nam, gdzie są?

– No cóż, pokażę. Zaczekajcie, tylko pogadam z szefem.

Porozumiał się z szefem, po czym razem z kosmitami (choć w ich kosmiczność wszyscy wątpili) wsiadł do jednego z samochodów i ruszyli ku innemu wys... ku innej wystawnej skarbnicy.



W samochodzie Kosztowny i Pochłaniający Olbrzymie Ilości Energii Translator został wyłączony, bo był już mocno przegrzany i pochłaniał olbrzymie ilości energii.

Dojechali do kolejnego składowiska. Kosmici, nawet nie wysiadając z samochodu, nastavili Straszliwy Podręczny Dezintegrator i już wkrótce w miejscu, gdzie była hałda śmieci, ziała wielka dziura w ziemi.

Młody człowiek był pod wrażeniem, ale nie dawał tego po sobie poznać. Starał się wyglądać na znudzonego.

Drugie (a właściwie trzecie, licząc debiut w pobliżu Janowa) składowisko zostało również sprawnie zlikwidowane. Młodzieniec trochę się zaniepokoił, że po kolejnym będzie musiał odwołać się do swojego talentu pi-arowca, żeby jednak uniknąć upokorzenia kapitulacji.

Przy ostatnim wysypisku kosmici doświadczonymi ruchami nastavili i uruchomili Straszliwy Podręczny Dezintegrator i... Nic się nie zdarzyło. Ponowili działania. I znowu nic.

– Zabrakło energii – ocenił wyższy.

– Całą pochłonął Kosztowny i Pochłaniający Olbrzymie Ilości Energii Translator – dodał grubszy. – Nic z tego nie będzie.

– Noo, panowie, tak się nie będziemy bawić – złośliwa satysfakcja w głosie młodzieńca była czytelna nawet bez translatora. – Zabierajcie się stąd! Chcieliście nas oszukać. Żadni z was kosmici. Jesteście nędznymi sztukmistrzami.

Wyrzucił zasmuconych kosmitów z samochodu, zatrzaskała drzwi i polecił kierowcy powrót do domu, to znaczy do siedziby wojewody. Ale już w drodze wyciągnął telefon.

– Szefie, wielki sukces! Udało nam się zniszczyć jeszcze dwa wysypiska.

– ...

– Tak, ale na więcej nie mamy co liczyć.

– ...

– A wyrzuciłem ich. Do niczego nam się już nie przydadzą.

Żeby zakończyć wątek wojewody i jego rezolutnego pi-arowca, dodajmy, że ekologiczne wysiłki wojewody i sprawność w usunięciu trzech wysypisk śmieci zostały docenione w centrali. Uzyskał specjalną



nagrodę premiera oraz wysoką – nomen omen – premię. Premier zaś przez dwa tygodnie brylował w telewizji. Dał się nawet sfotografować na tle dziury w ziemi. Fotografie zamieściła kolorowa prasa, później w przeglądzie prasy pokazała ją telewizja, a to odnotowała prasa. Pi-arowiec został nagrodzony dyplomem wojewody.

Porzuceni na pustkowiu kosmici nie wiedzieli, jak wrócić do swego lądownika (bez energii zresztą i tak nie byli w stanie wrócić na orbitę, a za porażkę w podbijaniu Ziemi i tak byliby wylani z roboty). Tułali się „pośród pagórków leśnych, pośród łąk zielonych i pól malowanych zbożem rozmaitem”. Przymierali głodem przytem.

Wkrótce jednak niższym a grubszym zainteresowała się bufetowa w powiatowym miasteczku, przez które wędrowali. Pozostał więc, a drugi powlókł się dalej. Odnalazł jednak swoje miejsce: zajął odpowiedzialne stanowisko i zapewnił sobie odpowiednie apanaże. Jego szef, pastuch w jednym z gospodarstw rolnych, powierzał mu same odpowiedzialne zadania. Gdy trzeba było pędzić do gospody, by odnowić zasoby piwa, Krótki (jak dowcipnie został teraz nazwany) z ochotą wywiązywał się z obowiązków. Doskonale też sprawdzał się, gdy trzeba było dostarczyć korespondencję dziewczynie szefa, w tajemnicy przed jej ojcem. Zdołał też wkrótce nowe cenne umiejętności, jak choćby wykradanie jabłek z sadu sąsiada albo odciąganie uwagi od szefa, gdy ten straszliwie cierpiał po zbyt sumiennym wypełnianiu obowiązku picia piwa. Był w każdym razie szczęśliwy. Zamiast snuć się przez bezkresy kosmosu, okazał się przydatny i pomocny tu, na Ziemi. A Kosztowny i Pochłaniający Olbrzymie Ilości Energii Translator sprawdził się doskonale jako otwieracz do butelek i został wręczony szefowi (za jego zresztą sugestią), jako prezent z okazji proklamowanego przezeń Święta Pasterza.

Lądownik rdzewiał pod Janowem do czasu, kiedy zaczął przeszkadzać w realizacji ważnej inwestycji drogowej. Stał dokładnie w miejscu, gdzie władza postanowiła postawić znak drogowy o treści „Grzybów 3 km”. Pewnego dnia więc przysłano dźwig i ciężarówką wysłano cały kontener na składowisko złomu.

Ziemia została uratowana, zachowała swą integralność i niepodległość pośród kosmicznych imperiów. Podsumujmy, jak stało się



to możliwe. Zdziałał niewątpliwie kunszt młodego pi-arowca (nie bez przyczyny to dziś najbardziej ceniony zawód), umiejętność doboru ludzi i podejmowania słusznych decyzji przez wojewodę. Swoje znaczenie miała jednak także umiejętność trzeźwego skupienia uwagi na sprawach istotnych, wykazana przez zwykłych mieszkańców planety. Im to, ich moralnej wielkości należałoby zadedykować tę relację.



Odkrycie

Wtrakcie prac niwelacyjnych pod nowe centrum naukowe, które zostanie otwarte w maju 2358 r., roboty dokonały ciekawego odkrycia archeologicznego. Wykopały bowiem dobrze zachowany papierowy notes z początków XXI wieku, z kilkoma czytelnymi stronicami. Mamy więc wgląd w życie i problemy człowieka sprzed 300 lat! Dowiadujemy się, o czym myślał, czym się zajmował, w jakie wchodził interakcje z innymi. Dla ułatwienia zrozumienia tekstu podajemy, że specjaliści ustalili już bezspornie, iż większość wydarzeń odbywa się w położonym na jakiejś górze centrum rozrywki. Z nieznanych jeszcze powodów (może przez atawistyczny lęk przed ciemnością) czynny wypoczynek trwał jedynie parę godzin, po czym wypoczywający przenosili się na noc w inne, bezpieczne miejsca, gdzie zasypiali, po czym rano kontynuowali swoje rozrywki. Brak danych, by nawet oszacować, ile uczestnicy takiego zbiorowego wypoczynku musieli płacić za możliwość wzięcia w nim udziału. Przepuszczalnie jednak był on dostępny tylko dla wybranych.

Oto zapis odkrytego dokumentu:

7.30. Zwlokłam się z wyra. Chciało mi się wyć. No cóż, zacisnęłam zęby, wyszorowałam się, ubrałam, umalowałam i popędziłam na pętłę.

9.15. Jak zwykle tłok. Z dziewiątki przeskoczyłam do 17, stamtąd do 12 i już byłam w biurze. Kadrowa, jak zwykle, wymądrzała się. A, niech skoczy na drzewo!

9.30. No, jestem u siebie. Poszłam z czajnikiem na dół po wodę. Na korytarzu spotkałam Karolinę. Opowiedziała mi wczorajszy odcinek



„M jak miłość”. Dużo się działo. On ją w końcu puścił w trąbę, ale po kryjomu. Później ona to odkryła, ale już było za późno. Tamta już go trzymała w szponach. Flądra jedna! Nie wiadomo, co będzie dalej.

10.00. Wróciłam z wodą, nastawiłam herbatkę. Skoczyłam na dół do sklepu po bułeczki, maselko i serek.

10.15. No, herbatka gotowa. Zaczęłam śniadanko.

10.45. Wracając z toalety, spotkałam Kazia. Sympatyczny, ciągle łakomie zaglądał mi w dekolt, ale tak, żebym nie zauważyła. No to i nie zauważałam. Opowiadał o jakiejś bibie u jego kumpla. Chciałby mnie zaprosić. Pewnie się zgodzę, ale trochę go pozwodzę. O rany, ale fajnie mi się napisało! Chyba mam talent.

11.12. Zauważyłam, że dawno nikt nie podlewał paprotki. Poszłam po wodę.

11.35. Wróciłam. Wpadła Krysia z rachuby. Zdobyła gdzieś fantastyczną kieckę. Zaczęłyśmy przymierzać.

11.40. Przymierzałyśmy, gdy wtarabanił się jakiś gość, przysłany przez Zdzicha z reklamacji, i zaczął nudzić. Zmyłam mu głowę i wygoniłam. A temu Zdzichowi pokażę, gdzie raki zimują.

12.15. Wyjęłam akta, ale przypomniałam sobie, że nie mam manikiuru. Tym się więc zajęłam. Akta nie zając.

13.00. Pora na obiad. Zeszłam do stołówek na dół.

13.30. Wróciłam z obiadu. Miło się gawędziło.

13.45. Zwolniłam się na 10 minut i poszłam na miasto.

14.50. Schowałam akta. Komu chciałoby się coś robić! Poszłam do Haliny ze zbytu. Jej stary wyjeżdża na delegację, więc urządzimy popijawę.

15.05. No, pora szykować się do wyjścia. Za trzy kwadransy do domu. Niby mam być do 16, ale co tam!

15.40. Dwunastka, siedemnastka, dziewiątka. Tłok. Mogliby coś z tym zrobić. Tylko nie chce im się pracować!

17.00. Teleexpress. Nic ciekawego. Tylko puścili fajny kawałek Ich Troje.

17.30. Wyciągnęłam się na kanapie...

Na tym urywa się ten ze wszech miar frapujący zapis. Dokument będzie przedmiotem wielu dociekań naukowych. Godzi się wszakże opatrzyć przytoczony tekst paroma wyjaśnieniami badacza.



Wycie – należy podkreślić, że autorka z dumą notuje, iż panuje nad swymi atawistycznymi odruchami.

Malowanie – nie wiemy, czy malując się kobieta maskowała jakiś defekt skóry, naturalny w owych niebezpiecznych czasach, czy czyniła to w ramach jakiegoś nieznanego kultu.

Pętla – znaczenie tego słowa stanowi przedmiot sporu.

9, 17, 12 – te liczby występują dwukrotnie w tekście, ale ich znaczenie nie jest jasne. Być może ma to związek z jakąś grą. Wskazuje na to duża liczba uczestników.

Kadrowa – przypuszczalnie chodzi o jakiś udomowiony gatunek małp. Przemawia za tym zwrot „skoczyć na drzewo”.

Flądra – zaskakuje wiadomość, że w tamtych czasach występowały ryby ze szponami. Być może chodzi o jakiś drapieżny gatunek, atakujący nawet ludzi.

Woda, żywność – część badaczy wskazuje na trudności zaopatrzeniowe tamtych zamierzchłych czasów. Zwróćmy uwagę, jak małe musiały być przydziały żywności, skoro autorka pisze o nich wyłącznie: bułeczki, maselko, serek, herbatka. Niektórzy podkreślają, że i z dostępnością wody było źle. Autorka sama odnotowuje, jak dużo czasu zajmuje jej wędrówka do źródła. Urządzano nawet skrycie imprezy połączone z piciem wody („popijawa”), gdy starsi ludzie gdzieś wyjeżdżali. Również fakt, że osoba spotkana na korytarzu łakomie zerkała w dekokt (autorka czyni tu błąd w pisowni!), świadczy o niedostatku napojów.

Puszczanie w trąbę – prawdopodobnie chodzi tu o szalejące w tamtych czasach wiatry, zwane trąbami powietrznymi.

Nudzenie – zdejmowanie ubrania (od nude – nagość). Przygotowanie do mycia głowy.

Mycie głowy – to przypuszczalnie jakiś towarzyski obyczaj o dość niejasnym znaczeniu, być może o podłożu seksualnym, za czym przemawiałaby konieczność rozebrania się.

Raki – miejsce zimowania tych zwierząt było zapewne znane jedynie wtajemniczonym. Wdzięczna jednak za „podesłanie gościa” autorka postanowiła zrewanżować się Zdzichowi i ujawnić mu je.

Akta nie zajac – nie wiadomo, dlaczego autorka uznała za konieczne podkreślić tę oczywistą różnicę semantyczną. Może chodzi jedynie o ozdobnik stylistyczny.

10 minut – w owych czasach prymitywne jeszcze zegarki niezbyt dobrze funkcjonowały albo czas był pojęciem umownym. Autorka nie zauważa różnicy między godziną a 10 minutami.

Praca – nie pozbawiona daru obserwacji autorka zauważa, że nie wszyscy pracujący wywiązują się z obowiązków. Świadczy to o wysokim poziomie jej morale.

Kawałek – nie wiadomo kawałek czego i dlaczego puszczenie go wymaga aż trzech osób. Rzecz chyba dotyczy komunikacji, bo mowa jest o teleexpressie (czyli o sposobie szybkiego przenoszenia na odległość).

Podsumowując: ten niebagatelny dokument dostarcza nam ścisłych, bo z pierwszej ręki, informacji o organizacji życia społecznego i obyczajach początku XXI wieku, owego pionierskiego czasu, gdy groźne zjawiska atmosferyczne i dzikie zwierzęta nadal ciążyły nad kruchością ludzkiego losu. Należy podkreślić przebijający mimo to optymizm autorki tekstu, zadziwiający w obliczu codziennych trudów życia, niedostatków wody i żywności. Nie wiadomo, co będzie dalej – pisze w pewnym momencie autorka, a jednak tamci odważni ludzie nawet z najprostszymi, najbardziej oczywistymi czynnościami potrafili czerpać radość.



Bonus



Prostowanie bajek (I)

Czerwony Kapturek

Wielokrotnie bez zastanowienia w formie bajek dostarczamy dzieciom wiele niesprawdzonych wiadomości. A przecież w ten sposób nieodwracalnie skrzywiamy ich młode umysły, przekazując zupełnie nieprawdziwy obraz świata! W niniejszym cyklu postaramy się sprostować najbardziej rozpowszechnione błędy i mity. W badania włożyliśmy sporo trudu i pieniędzy.

Na pierwszy ogień weźmy Czerwonego Kapturka, rekonstruując faktyczny przebieg wydarzeń. Prawdą jest, że główna bohaterka miała takie przezwisko, jej rodzice angażowali się bowiem w ruch lewicowy, a zawistne otoczenie nie chciało im darować płynących stąd – naturalnych przecież u działaczy społecznych – splendorów i korzyści. Wydarzenia jednak, o których opowiada bajka, miały zupełnie inny przebieg.

Nastolatka znana pod przezwiskiem Czerwony Kapturek szła więc przez park do babci. Chciała się jej poradzić w sprawie chłopaków. Babcia bowiem – niezbyt podeszła w latach – znana szeroko jako nimfomanka, była okolicznym ekspertem w sprawach męsko-damskich.

W pewnym momencie zza krzaka wyłonił się niespiesznie jakiś mężczyzna. Między nim a dziewczyną wywiązała się rozmowa, tak nieprecyzyjnie relacjonowana w wielu przekazach.

– Dokąd to zmierzasz tak szparko?
– No, no, tylko nie szparko, zboku jeden! – obruszyła się panienka.
– Ależ dziewczynko, tam nie było przecinka! A szparko znaczy szybko.

– Sory – odparła światowo.



- To zacznijmy jeszcze raz: dokąd zmierzasz tak szybko?
- A właściwie kto ty jesteś, że mnie tak wypytujesz?
- Gdzie moje manieri! Jestem Franciszek Wilk.

Zwróćmy uwagę na fakt o niebagatelnym znaczeniu: krwiożerczy wilk, o którym tyle gadamy dzieciom, to w rzeczywistości starszy pan o wyszukanym słownictwie i miłym sposobie bycia. Wróćmy wszakże na miejsce wydarzeń. Nastolatka powiedziała w końcu, dokąd idzie, pogadali trochę od niechcienia o pogodzie, po czym rozstali się. Droga zajmowała Czerwonemu Kapturkowi jednak sporo czasu – to bowiem zauważyła zająca i musiała go przegonić, to zobaczyła mrowisko i czuła się zobligowana do jego rozsypania i zdenerwowania tych głupich mrówek, to rozdeptała ze trzy gąsienice. Ot, zwykłe rozrywki dorastającej młodej damy.

Kiedy doszła na miejsce, zauważyła przez okno, że nad babcią pochyla się jakaś postać, wpijając się w nią, jakby chciała ją pożreć. Już chciała wydać z siebie stosowny odgłos przerażenia, kiedy ze zdumieniem rozpoznała pana Wilka, który po prostu obściskował babcię. Ta zaś nie miała nic przeciw temu.

Gdy dziewczyna weszła do domu, Wilk został przez babcię najwyraźniej ukryty gdzieś w innym pokoju.

- Witaj, Czerwony Kapturku – babcia rozpoczęła dialog, znowu tak bardzo zniekształcony w apokryfach.

- Cześć, babciu! Czemu masz takie czerwone uszy? – niewątpliwie złośliwie spytała wnuczka. To i owo o życiu przecież już wiedziała.

- O, bo tak nasłuchuję, czy idziesz – sprytnie wyłgała się babcia.

Nastąpiła teraz wymiana zdań zupełnie nieistotna dla tej historii. W każdym razie dziewczyna otrzymała szereg instrukcji co do postępowania z osobnikami płci męskiej, po czym babcia za pomocą przekupstwa (300 zł na lody) uzyskała zejście wnuczki ze sceny. Sama zaś przywołała Wilka i wraz z nim przystąpiła do tego, co rozpraszało jej myśli w ciągu ostatniej godziny.

W tym czasie jednak pod oknami willi babci przechodził Walenty, nieco stuknięty myśliwy, starający się o zmonopolizowanie względów babci. Zauważył, co się święci, i bez namysłu (bo nie był w tym najlepszy) przystąpił do działania. Chwytał sztucer i... łubudu przez okno!



Co to się później działo! Wilkowi medycy wyciągali śrut z pośladków, Walentego ganiała po okolicy policja, babcia zaś nawiązywała już flirt z prowadzącym dochodzenie. A Czerwony Kapturek? Kogo w końcu obchodzi niezbyt rozgarnięte dziewczę z pryszczami na twarzy!

PS. Mrówki nie za bardzo ucierpiały na spotkaniu z Czerwonym Kapturem i stosunkowo szybko odbudowały swą siedzibę.



Władczyni świata, czyli jeden dzień z życia sfer wyższych

Krowa Matylda zbudziła się o świcie rześka i optymistycznie nastawiona do życia. Wkrótce weszła jej służąca Hanka z wiadrem i odciągnęła nadmiar mleka nieprzyjemnie ciężący w wymionach. Potem podała napoje. Taak, teraz da się żyć. Wyniosłym spojrzeniem przypomniawszy Hance, że wieczorem ma zrobić to samo. Pewnie zapomni, bezmyślne stworzenie...

No, można wyjść. Poszła przodem, a za nią służąca trzymająca się końca łańcucha. Bez tego z pewnością by się zgubiła. Gdy doszły na miejsce w dostojnym milczeniu, Hanka kołkiem przymocowała łańcuch do ziemi i odeszła, pozostawiając w samotności krowę, której służyła.

Matylda wypróbowała mocowanie łańcucha – Taaa, na jakiś czas wystarczy – i zajęła się własnymi sprawami. Głęboko zamysłonym spojrzeniem omiotła otoczenie.

– Łąka – skonstatowała. – Trawa – odkryła. – Zielona – doszła do wniosku po pewnym czasie.

W sposób wypraktykowany wieloletnim doświadczeniem zajęła się teraz metodycznym przystrzyganiem murawy. Ponieważ nie chciała śmiecić, skoszoną trawę gromadziła w pierwszym ze swych żołądków. Jej utylizacją zajmie się później. To była jej wielka misja. Cóż, ten durny świat nie mógł się bez niej obejść. Kto mógł ją zastąpić! Obdarzała swą wielkodusznością otoczenie, może i niegodne jej, ale przecie mogła sobie pozwolić na ten luksus.

Dobrze znała cały świat – wiedziała, że składa się z paru drzew, jej prywatnej łąki i kilkunastu chałup zamieszkałych przez jej poddanych.



Było wśród nich paru darmozjadów, którzy jakimś hałaśliwymi rzeczami co jakiś czas niszczyli okoliczne pola. Ale cóż ją to w końcu obchodziło! Łąkę, którą codziennie się zajmowała, traktowała właściwie. W końcu była na jej głowie. Gdy słońce było już bardzo wysoko, pojawiła się Hanka, prowadząc do Matyldy jakiegoś przystojnego młodego buhaja. Oho, szykują się rozrywkowe chwile...

Nieoczekiwanie dla siebie Matylda wpadła w romantyczny nastrój. Oczy, które w skrytości ducha uważała za największą ozdobę swojej urody, zaszyły jej mgiełką. Cóż, z natury była uczuciowa, a widok młodego kochanka przyprawił ją o miły dreszcz. Najbliższa godzina była rzeczywiście miła, ale pod koniec miała faceta dosyć: był zbyt namolny. Wzrokiem dała Hance znak, że może już odprowadzić młodziaka. Trochę odpoczęła, po czym wróciła do swej pracy. Tak się w tym zapamiętała, że już wkrótce zapomniała o swych niedawnych uniesieniach. Nadszedł wieczór. Z daleka doszedł krzyk w prymitywnym języku jej służby: – Hanka! A sprowadź-no Mućkę do obory. Sama głupia gadzina przecież nie wróci!

Matylda nie znała języka klas niższych i nawet się o to nie starała, bo i po co? Poznała jednak, że wołała starsza z jej poddanych.

Wierna Hanka przyszła po swą panią i razem dostojnym krokiem podążyły na jej kwaterę. Kiedy tak szły, Matyldę naszła ospała refleksja: – Jak dobrze jest wypełniać swoje obowiązki, nawet gdy jest się władczynią tego pięknego świata...



Postówie

Intencja autora w pomysłowości fabularnej nie zna granic – aż do czytelniczego przerażania. Jednakże tworzy nie tylko światy abstrakcyjne, lecz także buduje je według zasad prawdopodobieństwa, w przeciwieństwie do większości twórców science fiction lub z nurtu tzw. fantasy. Może jeśli byśmy chcieli koniecznie szukać jakichś współczesnych podobieństw, to trzeba by wskazać na modny dziś, lecz ostatecznie dość jałowy ideowo i poznawczo, nurt tzw. historii alternatywnych.

Natomiast głównym zamysłem i jednocześnie przesłaniem autorskim tych... tu się zawahałem, tych opowiadań, nowel, paraboli, moralitetów, gnom, w każdym razie tego literackiego bogactwa gatunkowego, jest nasze bytowanie tu i teraz. Ale w potrząskanym, wyolbrzymiającym zwierciadle – w głupocie, cynizmie, kręactwie, chciwości, okrucieństwie, cwaniactwie, chamstwie i wszelkich możliwych, a znanych, okropnościach moralnych skłaniających czytelnika do zapytania samego siebie: ile jest w tym mojej winy, a ile losu.

Tak, los ironiczny jest prawie zawsze przeciw człowiekowi. Na przykład sukces obraca w porażkę i pobudza do złych działań. Tych determinacji nie sposób ogarnąć rozumem. To oczywiste, gdyż i los, i ludzka aktywność, uwidaczniające się w polityce i historii, nie są racjonalne. I to jest najważniejsze przesłanie tego dzieła, kompromitujące, należałoby powiedzieć paradoksalnie, irracjonalne zadufanie współczesnego człowieka w rozum. Ile zła sprawia ono, owo zarozumiałstwo, dziś i wyrządziło w drugiej połowie XVIII w.! Za karę jeden z bohaterów Lazarowicza otrzymuje w czyścicu polecenie przepisywania przez 300 lat klasyków myśli lewicowej...

Dlatego autor doświadczający w życiu publicznym skutków owej megalomańskiej apologii rozumu, bezkrytycznej, zgoła infantylnej

wiary weń, albo ucieka, acz bardzo rzadko, w imaginowany azyl, gdzie panuje odwieczna mądrość i spokój. Albo – najczęściej – próbuje obezwładnić zło przez jego demaskację. I tu okazuje się niezrównanym w dzisiejsze literaturze mistrzem drwiny, sarkazmu, szyderstwa, kpiny, ironii, paradoksu, alegorii; tej ostatniej nawet Diderotowskiej proveniencji. Wymowna jest pod tym względem ironiczna alegoria „Władczyni świata, czyli jeden dzień z życia sfer wyższych”, gdzie krowa Matylda *nie znała języka klas niższych i nawet się o to nie starała, bo i po co? Poznała jednak, że wołała starsza z jej poddanych. Wierna Hanka przysłała po swą panią i razem dostojnym krokiem podążyły na jej kwatery. Kiedy tak szły (...), Matyldę naszła ospała refleksja: – jak to dobrze jest wypełniać swoje obowiązki, nawet gdy się jest władczynią tego pięknego świata.*

Z konsekwencjami owego zarozumiałstwa, nazywanym dzisiaj postępowością i poprawnością polityczną, boryka się nie tylko autor, ich następstw doznają przecież wszystkie społeczności naszej cywilizacji, jedne aprobatywnie i z radością, inne, jak na przykład część polskiej (jeszcze?), z przerażeniem. Oto w gnomie „Procesy” niejaki Alfred K. gwałcił w parku kobietę, mąż gwałconej, Zenon M., zelżył napastnika i uderzył go w twarz. Został skazany na pół roku więzienia z uzasadnieniem: *Współczesne społeczeństwo nie toleruje aktów agresji wymierzonych w jakiegokolwiek mniejszości. Zenon M. dopuścił się (...) takiego czynu wobec Alfreda K. Poszkodowany Alfred K. jest zarejestrowanym członkiem mniejszości osób niewolących seksualnie i jako taki zasługuje na szacunek społeczny i ochronę ze strony organów państwa. Nie zasługują na uwagę usprawiedliwienia oskarżonego, jakoby ofiara gwałciła jego żonę, a on sam wezwał policjantów. Napaść na Alfreda K., przedstawiciela mniejszości, miała charakter zuchwały i jawnie prowokacyjny...* To jakby czytało się Franza Kafkę – odmienionego, gdyż wzbogaconego o ironię, drwinę, sarkazm. A Kafka w „Kolonii karnej” antycypuje, jak wiemy, obozy koncentracyjne. Czy Romuald Lazarowicz swą książką też zapowiada to, co nadchodzi?

Trzeba koniecznie przeczytać, żeby wiedzieć, jak postępować, by *t o* nie nadeszło.

Jacek Wegner

